

J A C K

KETCHUM

A central image of a human skull, rendered in a dark, textured style. A thick, white, brush-like stroke is painted across the forehead of the skull, extending from the left side towards the right. The background is black with scattered red splatters and dust-like particles, creating a gritty, horror-themed atmosphere.

P R Z E P R A W A

TŁUMACZENIE: ROBERT J. SZMIDT

SKARPA WARSZAWSKA

J A C K
KETCHUM



P R Z E P R A W A

Z języka angielskiego przełożył

Robert J. Szmidt

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Jeden

Dwa

Trzy

Cztery

Pięć

Sześć

Siedem

Osiem

Dziewięć

Dziesięć

Jedenaście

Dwanaście

Trzynaście

Czternaście

Piętnaście

Przypisy

Tytuł oryginału:
The Crossing by Jack Ketchum
Copyright © 2003 by Dallas Mayr
All rights reserved

Polski tytuł:
Przeprawa
Polish edition copyright © 2024 Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o. o.
Polish translation copyright © 2024 Robert J. Szmidt

Tłumaczenie
Robert J. Szmidt

Redakcja
Urszula Gardner

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Piotr Cieśliński

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w Internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-73-8



Wydawca
Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



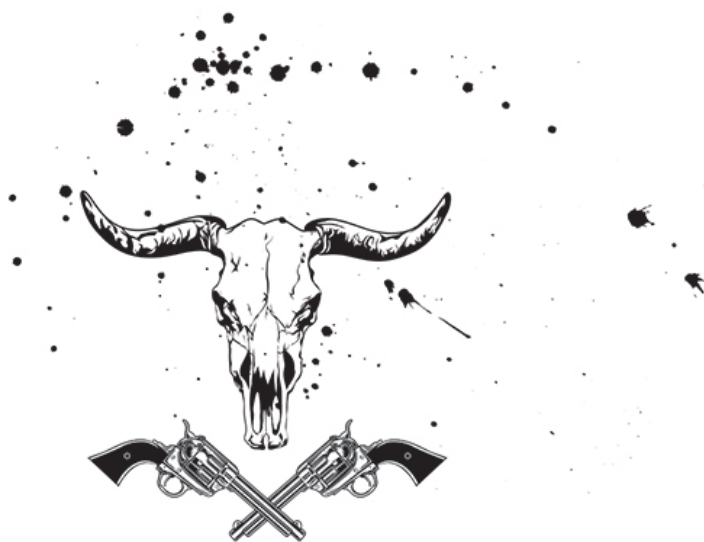
Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

*Mommas, don't let your babies
grow up to be cowboys...*

[Niech żadna matka nie pozwoli,
by jej syn wyrósł na kowboja...]

wers piosenki country z 1975 r.
napisanej i śpiewanej
przez Eda Bruce'a i jego żonę Patsy



JEDEN

Oto, co powiedziała Hartowi, Matce i mnie o tym, jak to się zaczęło.

Ponoć wszystko przez hałas.

Ponoć kuraki ze stodoły domagały się porannego karmienia tak głośno, że z ich powodu nie usłyszała tętentu końskich kopyt.

Elena od dawien dawna nie cierpiała drobiu, a teraz jeszcze to.

Wlepiając zaspane jak zawsze oczy w kłębiące się stado, które pokrywało całe gumno, nabierała paszę z cebrzyka pełnymi garściami i sypała ją tak, by wywabić na zewnątrz głodne ptactwo, które wylało się w końcu na podwórze niczym lawa, po raz kolejny skłaniając dziewczynę do myśli, że kury przypominają zachowaniem raczej mrówki, albo ławice małych rybek zerujących w rzece, niż cokolwiek innego znanego jej z natury. Tyle że żadna mrówka ani płotka nie cuchnie tak straszliwie. To, że kurczaki są tak bardzo od niej zależne, zdumiewało ją. Były przecież szybkie, zdolne do gwałtownych ruchów, i miały takie zimne spojrzenia. Brzydziło ją, że te zaciekłe istoty zostały zredukowane do marnej namiastki samych siebie.

Zdążyła dwa razy zawołać Celinę, swoją siostrę, każąc jej wyzbierać jajka, lecz ta wciąż była dzieckiem i wstawiała z największą niechęcią, dla-

tego poskutkowało dopiero trzecie wezwanie: drzwi się otworzyły i w progu pojawiło się śliczne, na wpół zaspane, nadąsane dziewczę, na którego widok Elena wbrew rosnącemu rozdrażnieniu uśmiechnęła się mimowolnie. Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, przeniosła więc wzrok na mętne okno i podciągającego szelki ojca, który rzucił im tylko przelotne spojrzenie i zaraz się odwrócił.

Minęła bez słowa siostrę, a gdy Celina zniknęła w stodole, kilkoma zamaszystymi łukami rozrzuciła resztę paszy ze starego ciężkiego cebrzyka, po czym skierowała się w stronę domu i to właśnie wtedy ich zobaczyła, jak pędzą prosto na nią.

Czterej mężczyźni na młodych, silnych koniach.

Trzej Meksykanie i czwarty, który wydawał się biały, choć wszyscy byli równo zakurzeni i spoceni po długiej jeździe w siodle. Zauważyła też broń, każdy miał karabin i pistolet. Pasy z amunicją krzyżowały się na ich pierśsiach.

Bojowcy, uznała.

Ich obecność wystraszyła ją i zagniewała jednocześnie. Zwłaszcza tego masywnego łysego białasa, który mierzył ją uważnym i pewnym spojrzeniem szarych oczu, gdy tak sunął przez morze pierzchających pod kopytami kuraków, dopóki nie znalazł się na tyle blisko niej, że wyraźnie zobaczyła wciąż świeżą bliznę w kształcie litery D, którą ktoś wypalił mu na twarzy: od zuchwy po kość policzkową i z powrotem.

Niech cię piekło pochłonie, pomyślała, nie spuszczać wzroku. Dość już mamy tej wojny.

Słyszała śmiechy Meksykanów, którzy mieli trudności z opanowaniem wierzchowców nienawykłych do tyłu małych stworzeń pod kopytami – płosząc do reszty kurze stadko, zwierzęta drobiły, próbowały stawać dęba i rżały wściekle. Słyszała odgłos wyciąganych z olster karabinów i widziała, jak ten tyczkowaty, w którego żyłach musiała płynąć domieszka indiańskiej krwi jak u jej nieżyjącej matki, wymierza i strzela prosto w kłębowisko, ale kula wzbiła jedynie nieco pyłu, poprawił więc i tym razem, tam gdzie przed

chwila stał żywy kurczak, leżało teraz bezgłowe bezskrzydłe truchło drapiące pazurami w agonii.

Od tej pory wydarzenia nabrały tempa.



Tylko Białas zachował spokój, pozostali ruszyli z kopyta, strzelając do kurczaków i wrzeszcząc: „Comida! Comida!”^[1], czym robili więcej zamieszania, niż siali zniszczenia. Elena dostrzegła Celinę wyglądającą ze stodoły, by sprawdzić, kto strzela – siostra cofnęła się natychmiast, lecz ten gruby, na którego wołali Fredo, jak się później dowiedziała, zdążył ją zauważyć i wjechał do środka. Gdy zerknęła w okno, zobaczyła ojca, który właśnie się odwracał, by pójść po strzelbę.

Kiedy gruby wrócił na podwórze, wiozł przerzuconą przez łąk, wierzgającą i próbującą go podrapać Celinę. Śmiał się z tego w głos, tak samo jak jego towarzysze. Nawet Białas wyszczerzył zęby. Zrobiła trzy kroki w stronę grubasa i walnęła go cebrzykiem w łeb, czemu towarzyszył odgłos podobny do tego, gdy wrzucić kamień do głębokiej studni, ją zaś przeszył ból od nadgarstka aż po bark i zalała fala satysfakcji na widok tryskającej krwi.

Grubas zawył, zrzucił jej siostrę na ziemię i sam spadłby z siodła, gdyby nie to, że chwycił się łąku, i właśnie wtedy, jak twierdziła, w drzwiach domu pokazał się jej ojciec, co widząc, Białas sięgnął po broń i wypalił czterokrotnie raz po raz. Staruszek zwałił się na plecy z wielką dziurą w czole, a jego krew zbryzgała odrapaną futrynę.



Nie powiedziała nam, jak to przyjęła, a my nie dopytywaliśmy. Nie było takiej potrzeby. Rozmawialiśmy wieczorem, przed przeprawą na drugi brzeg rzeki Kolorado; jej twarz, lśniąca w blasku obozowego ogniska, wyglądała tak, jakby wykuto ją przed wiekami w polerowanym kamieniu. Jedliśmy fasolę, peklowaną wołowinę, chleb i mięso grzechotnika, kiedy się do nas pierwszy raz odezwała naprawdę, gasząc nawet Matkę.

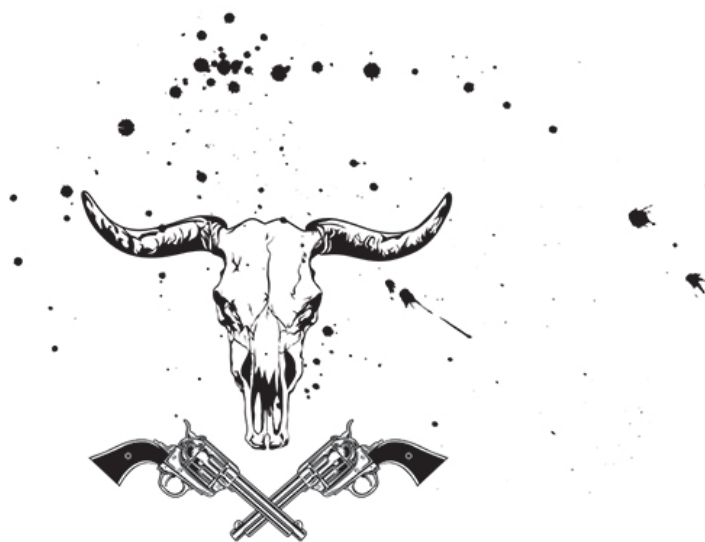


Ponoć zapytała Białasa o imię, a on jej powiedział, że nazywa się Paddy Ryan.

– Przyjechaliście po kwoki, to je sobie bierzcie – syknęła.

– Tak zrobimy – odparł.

Zsiedli z koni i tam je obie wzięli po raz pierwszy, pośród drobiu na podwórzu.



DWA

Spotkałem Johna Charlesa Harta w roku tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, tym samym, w którym zakończyła się wojna amerykańsko-meksykańska, w miejscu, które później nazwano Arizoną, a ściślej mówiąc, w powstałej z dnia na dzień i rozwijającej się nader szybko mieścinie Gable's Ferry, na drugim brzegu rzeki Kolorado, na południe od złotonośnych pól Kalifornii i na północ od Meksyku. Miałem podówczas dwadzieścia jeden lat i byłem pijany jak bela, a on tymczasem grał w karty z dwoma innymi mężczyznami pośrodku saloonu Little Fanny. Widywałem go tam niemal każdego wieczora, ale nigdy wcześniej nie zamieniliśmy choćby słowa.

Gdyby nie odkryta w styczniu żyła złota z Sutter's Mill, ani ten saloon, ani ta miścina nie miałyby prawa istnieć. Niewątpliwie to nie Meksyk był celem coraz liczniej przybywających pielgrzymów. Ludzi przyciągało tutaj zwężenie koryta rzeki, będące idealnym miejscem na przeprawę, co wykorzystał pewien prostaczek imieniem Gable, budując prom i obsługując go od tamtej pory z dwururką na kolanie i parą dobrze wyszkolonych psów. Była to zwyczajna barka przeciągana liną, niemająca

szans na przetrwanie pierwszej większej powodzi, lecz na tyle solidna, by robić swoje, o czym wieść rozeszła się szeroko.

Ja trafiłem tam na samym początku. Widziałem, jak zwożono beczki whiskey i rozstawiano stoły bilardowe, po których przyszła kolej na karciarzy i dziwki, traperów, kupców i górników, a także na ludzi w gustownych ubiorach i tych noszących rzeczy szyte seryjnie. W ciągu mniej więcej miesiąca mieliśmy już prowizoryczny saloon i burdel, sklep wielobranżowy i drugi bar, stajnię i spożywczak. Właściwie wszystko prócz kościoła, szkoły i więzienia.

Choć większość mieszkańców była zdania, że przydałoby się tylko to ostatnie.

Ceny wystrzeliły w górę. Po drugiej stronie rzeki niewykwalifikowani górnicy wydobywali codziennie kruszec wart sto dwadzieścia pięć dolarów, o czym wszyscy wiedzieli. A w Gable's Ferry można było rozbić namiot, wstawić do niego prycze i kasować po dolarze za nocleg, a i tak chętnych nigdy nie brakowało. Peklowana wieprzowina w zardzewiałych puszkach z wojennych zapasów i zeschnię, wyżarte przez robaki jabłka schodziły po siedemdziesiąt pięć centów za funt. A w sklepie Reardona porządna manierka mogła człowieka kosztować nawet dziesięć dolarów, i to w srebrze. Dla porównania, dziwki u Little Fanny brały zaledwie po dolarze.

Nie mam bladego pojęcia, co tam robiłem.

Zarabiałem przyzwoicie, pisząc dla nowojorskiego „The Sun” krótkie depeze o postępach w odbudowie przeplatane od czasu do czasu bajdurzeniami o gorączce złota, choć pieniądzom tym daleko było do stałego dochodu, który osiągałem w trakcie wojny, gdy nazwisko Marion Bell pojawiała się na łamach regularnie co tydzień albo co dwa tygodnie. Miałem świadomość, że środki uzyskane ze sprzedaży majątku ojca

w Massachusetts kiedyś się skończą, zwłaszcza że przy cenach obowiązujących w Gable's Ferry przepijałem je w zastraszającym tempie. Robiłem to z wielu powodów, choć chęć zapomnienia o koszmarach, jakich byłem świadkiem w Mexico City, była z nich najważniejsza.

Jakiś czas temu moja gazeta opublikowała wizerunek generała Winfielda „Mucha Nie Siada” Scotta^[2] stojącego w galowym mundurze na stosie ludzkich czaszek i wymachującego szablą nad głową. Chyba nie muszę mówić nic więcej.



Tego wieczora, w pięciokartowego dobieranego pokera Hart grał ze starym niemieckim górnikiem nazwiskiem Heilberger i George’em Donaldsonem. Pierwszego ledwie znałem, ale o drugim mówiono, że jest zwykłym koniokradaem i szulerem, co też miało wyjść na jaw tej samej nocy.

Siedziałem za prawym ramieniem Harta, widziałem więc jego karty, ale nie wydawał się tym przejęty. W lewej dłoni trzymał krótki rzemyk, na który nanizano po obu końcach kostki – przekładał je między palcami ciągłym płynnym ruchem, od którego mieniło mi się w oczach. Niewykluczone, że wypita przeze mnie whiskey miała z tym coś wspólnego. Sącyłem właśnie piątą i jak sądziłem, ostatnią szklaneczkę tego wieczora, choć w żadnym razie nie przywiązywałem się do tej myśli.

Heilberger spasował, gdy przyszła na niego kolej, zatem w grze pozostali tylko Hart i Donaldson.

Nie wiem, ile dokładnie pieniędzy było w puli, ale na pewno niemało. U Little Fanny panował wyjątkowy tłok, głównie za sprawą irlandzkich i niemieckich górników, do których dołączyła garstka miejscowych przedsiębiorców, każdy z nieodłączną dziwką, rzecz jasna, dlatego gdy George przebił o trzydzieści, jeden z górników skwitował to cichym, lecz na tyle słyszalnym gwizdnięciem, że przebiło się ono przez pijackie popisy skrzypka Sama Perkinsa.

Kiedy Hart zastanawiał się nad swoim ruchem, Donaldson zwinął sobie skręta, po czym zamknął woreczek z tytoniem, przytrzymując sznurek w zębach, a gdy uniósł zapałkę, zobaczyliśmy waleta karo gapiącego się na nas bezczelnie spomiędzy mankietów znoszonej koszuli i wełnianej marynarki. Ja go widziałem, Hart go widział, co do Heilbergera nie jestem pewien. Przypuszczam, że John nie był w stanie uwierzyć własnym oczom.

– Jezusie Nazareński – mruknął. – Mógłbyś to robić trochę ostrożniej.

Nie wyglądał na zagniewanego, co najwyżej rozzłoszczonego, ale i tak sięgnął po broń – wielki szary antyk pochodzący z cholera wie jakich czasów – i położył ją na stole lufą skierowaną w stronę Donaldsona, na co ten także zaczął gmerać przy kaburze, ale zamarł na moment, gdy jego przeciwnik rzucił zdawkowo: „Nawet o tym nie myśl”, choć zaraz znów sięgnął drżącą ręką do pasa jak jakiś spanikowany dureń, co widząc, Hart powtórzył spokojnie: „U licha, George, nie rób tego”, lecz siedzący przed nim szuler trzymał już rewolwer w ręku, nie dając mu wyboru, tylko pociągnąć za spust.

Po broni tych rozmiarów można się wiele spodziewać, zatem ludzie za plecami

Donaldsona zaczęli się odsuwać, ale rozległ się jedynie suchy trzask kurka.

– Niech to – mruknął Hart. – Znowu ta cholerna spłonka...

Na bladej jak kreda twarzy George’a pojawił się uśmiech, a że nie był specjalnie przyjazny, uznałem, że tym razem to ja powinienem zejść kuli z drogi, tymczasem przekonałem się, że za cholere nie mogę się ruszyć. Siedziałem tam jak ten słup soli, patrząc, jak Hart obraca kostki w palcach, jakby nadal zastanawiał się nad następnym ruchem, nic więcej, i wtedy właśnie Donaldson strzelił. Przez ułamek sekundy nic się jednak nie wydarzyło.

Dopiero po chwili rewolwer wybuchł mu w dłoni. Eksplozja odrzuciła go do tyłu, aż spadł z krzesła.

Leżał tak na surowych deskach podłogi, skowycząc i wijąc się z bólu, koszulę miał zajętą ogniem, twarz i prawą rękę poparzone, i fajczyłby się pewnie dłużej, gdyby Jess Ake, barman, nie chlusnął na niego wodą z cebrzyka.

Tak wyglądał pojedynek U Little Fanny.

Rozgoniliśmy rękoma chmury siniego dymu, my, to znaczy Hart, Heilberger i ja, po czym ten pierwszy zgarnął ze stołu wygraną.

– Idę o zakład, że kupił tę spluwę u Gusdorfa – powiedział. – Tego człowieka powinni aresztować.

Nie kryłem podziwu dla jego opanowania. Mój własny żołądek zakotłował się mieszaniną whiskey i żółci, a przecież to nie ja gapilem się przed chwilą w wylot lufy, tylko siedziałem za tym, w kogo była wymierzona.

Zgadywałem, że Hart ma już pod pięćdziesiątkę albo niedawno ją przekroczył, trudno było stwierdzić to dokładnie, nie pierwszy raz też zastanowiłem się, co ukształtowało ludzi, których można spotkać w takich miejscach.

Jeśli nawet nie byli obłąkani, jak E.M. „Czoktaw” Kelly, który pracował nad nagrobkiem niejakiej Nellie Russell, jednej z dziwek Ginny Smalls z Fairview, mieli w sobie podszytą szaleństwem zuchwałość, którą traktowali jak rodzaj talizmanu.

Myślę tu o starym Billu Cooneyu, który pewnego ranka zobaczył, że baribal włożył pysk do jego worka kawy wartego dziesięć dolarów, i wściekł się do tego stopnia, że gonił to biedne zwierzę przez pół mili w samych tylko skarpetach, nie mając w ręku nic prócz butelki piwa cytrynowego i pędzla do golenia, którymi z pewnością nie obroniłby się przed drapieżnikiem, gdyby ten się nagle odwrócił i go zaatakował.

Ale skąd Hart wiedział, jaki będzie wynik?

Oczywiście nie mógł tego wiedzieć. Sądzę, że w jego naturze było siedzieć i czekać, co się stanie – cechowała go fatalistyczna cierpliwość i przytomność umysłu, których nie umiałem sobie nawet wyobrazić.

Na naszych oczach czterech górników chwyciło Donaldsona za ręce i nogi i wyniosło na zewnątrz, dokąd dokładnie – nie mieliśmy pojęcia. O tak późnej porze doktor Swinlon był z pewnością ululany, ale prócz niego w Gable’s Ferry mieszkał jeszcze dentysta i weterynarz, z których choć jeden powinien być trzeźwy. Hart zerknął w moim kierunku.

– Wyglądasz, jakbyś miał się zaraz porzygać, przyjacielu – stwierdził.

– Chyba masz co do tego rację – potwierdziłem.

– Lepiej wyjdźmy na zewnątrz. – Pomógł mi wstać i wyprowadził mnie na ulicę, w samą porę.

– Nie powinieneś pić, Bell. Wiesz o tym?

– Wiem.

– Zatem dlaczego to robisz? Widuję cię tutaj każdego wieczora.

– To samo można powiedzieć o tobie.

Tylko skończony moczymorda mógł mu tak odpyskować, ale tym właśnie byłem.

– Ja daję sobie radę – odparł. – Ty nie. – Wzruszył ramionami. – Zresztą nieważne, do diabła. Nie mój interes. Pomyślałem tylko, że może mógłbyś mieć coś lepszego do roboty.

– Nie jestem poszukiwaczem złota, Hart – odwarknąłem.

I proszę, znów mu odpyskowałem. Najwyraźniej poczułem się urażony jego słowami krytyki. A powinienem się zdumieć, że wyłowił mnie z tłumu, nie mówiąc o tym, że znał moje nazwisko. No i podziękować za to, że wyprowadził mnie na zewnątrz. Z doświadczenia jednak wiedziałem, że pijacy rzadko okazują wdzięczność.

– No? Ja też nim nie jestem – rzucił, po czym ruszył przed siebie.

– Hart!

– Co?

Tu mi zabił ćwieka. Nie wiedziałem, czego od niego chcę, wiedziałem tylko tyle, że pragnę go zatrzymać. Ja, Marion Bell, z trudem utrzymujący pion na chyboczącej się wciąż ulicy. A on spoglądał na mnie jak na kundla, który mógł, choć nie musiał mu się na coś przydać.

– Masz konia, Bell?

Wynająłem starego gniadosza ze stajni Swensona, płacąc miesięczne raty.

– Jasne, że mam.

– A nie chciałbyś dla odmiany zrobić czegoś pożytecznego?

– Czy ja wiem... O co konkretnie chodzi?

– Wskakuj na siodło. Pogadamy po drodze.



Pół godziny później przejeżdżaliśmy przez rozbite na południowym krańcu miasta obozowisko, w większości pogrążone w ciemnościach, choć w kilku namiotach paliły się jeszcze lampy – z jednego dolatywała pijacka wersja szkockiej przyśpiewki „Annie Laurie”, czemu towarzyszyły piski jakiejś dziewczuchy. Hart jak dotąd nie puścił pary z gęby. Owinął ten swój rzemyk wokół środkowego palca lewej dłoni i kołysząc nią, klikał zwisającymi kostkami, a ja zdążyłem do tej pory wytrzeźwieć na tyle, by zauważyć, że wybijany przez nie rytm jest zgodny z tętentem końskich kopyt.

Odczekał, aż miniemy namioty, po czym zwinął sobie skręta i zagadał do mnie.

– Znasz człowieka, na którego mówią Matka Piącha?

– Tego dużego gościa?

– Dużego? Jesteś mistrzem niedopowiedzeń, Bell.

– Znam go.

– Dałeś mu kiedykolwiek powód, by cię znieubił?

– Nie mieliśmy przyjemności się poznać.

– Świetnie. Zaraz to nadrobisz. Czasem wyprawiamy się z Matką na mustangi. Po wojnie zostało wiele bezpańskich koni i to na nie najczęściej się zasadzamy. Prawdziwe mustangi pochodzą od wierzchowców przywiezionych przez Hiszpanów, ale choć te drugie należały do nas nie tak dawno temu, ich potomkowie zdziczeli i są narowiste jak cholera. Jeśli będziesz miły wobec Matki, może pozwoli ci się z nami zabrać.

– Nigdy nie polowałem na mustangi.

– Na razie wystarczy, że utrzymasz się w siodle. Resztą my się zajmujemy. Bo utrzymasz się w siodle, co?

Nie zamierzałem zniżyć się do odpowiedzi. Zresztą nie sądzę, aby jej oczekiwał.

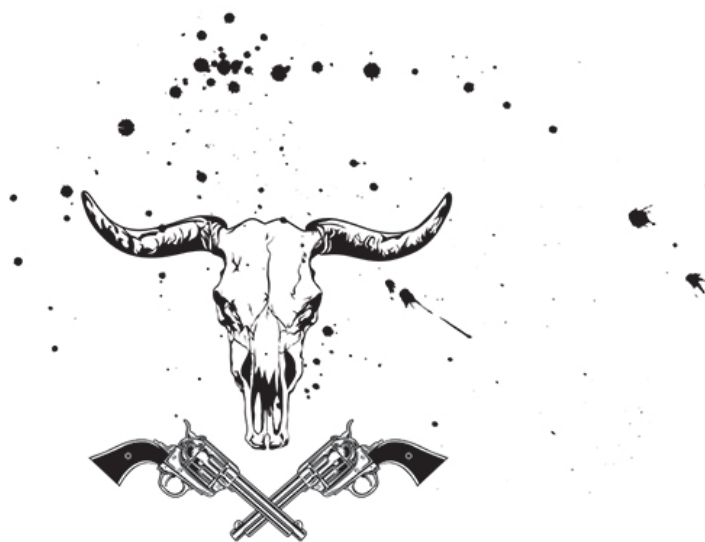
– Czym się wcześniej zajmowałeś, Bell, jeśli wolno spytać?

– Byłem korespondentem wojennym nowojorskiego „The Sun”. Pojechałem za oddziałami generała Scotta do Mexico City.

Pokiwał głową. Nie umiałem odgadnąć, czy mu zaimponowałem, czy raczej nie miał zbyt dobrego zdania o pismakach.

– Generał Scott – powtórzył. – Ta bryła lodu.

Nie odezwał się więcej, dopóki nie dotarliśmy do chaty.



TRZY

Mówiła, że słońce zdążyło zejść, zanim pokonali równiny i dotarli do rzeki.

Jechała cały ten czas z rękoma skrępowanymi za plecami, siedząc sztywno w siodle przed żyłastym półkrwi Indianinem, którego tamci wołali Gustavo i któremu wielokrotnie stawał podczas podróży, czuła to wyraźnie. Zdążył ją już mieć, tak jak i Celinę, ale zgadywała, że jeszcze mu było mało.

Zastanawiała się, czy jej siostra doświadcza tego samego, jadąc przed grubym Fredo z kłującym wąsem.

Była cała obolała, choć najbardziej cierpiała w kroku, gdzie delikatne ciało dotykało siodła, a poza tym chciało jej się okrutnie pić. Gdy mijali bród, by dostać się na meksykańską stronę, rozglądała się czujnie na boki, szukając okazji do ucieczki – liczyła, że może koń się potknie – ale żadna się nie nadarzyła. Jadący na czele Białas dobrze znał tę rzekę. Przeprawa odbyła się gładko.

Gdy czwarty z jeźdźców, ten, który prowadził luzaka objuczonego tuzinem kurczaków, dotarł w końcu na drugi brzeg, Gustavo powiedział:

– Meksyk. Twoja dom, nie? Dlaczego twój rodzina wyjechać stąd?

Ani myślała mu odpowiedzieć.

– Ja widzieć twoja oczy, mała – dodał. – Ja widzieć twoja duch. Ty i siostry być taka sama.

Trudno jej było uwierzyć, że ten cuchnący pies ma rodzeństwo, dlatego zapytała:

– Jakie siostry?

– *Las hermanas de lobo. Las hermanas del diablo*^[3]. Stare jak góry, mała. Stare jak bogowie. Tak samo jak ty. – Zaśmiał się w głos. – Wiesz... Ja myśleć, będą musiały cię zabić.



Wiszące nisko chmury przesłoniły księżyc i gwiazdy, dzięki czemu dostrzegła blask płomieni na długo przed tym, zanim dotarli do zabudowań. Były tam cztery ogniska i tyle samo drewnianych budyneków stojących po obu stronach wiekowej hacjendy, która najlepsze lata miała już za sobą, dlatego gdy podjechali bliżej, Elena zdziwiła się niepomniernie, zrozumiawszy, ilu w tych chatach gnieździ się ludzi – po części soldados^[4], takich jak mężczyźni, którzy je wieźli, w większości jednak kobiet, młodych i brudnych, bez entuzjazmu wykonujących przeróżne prace, zaczynając od dźwigania wody i drew na opał, przez podsycanie ognia, a na gotowaniu kończąc.

Nawet przed tym, zanim z gęstego dymu tuż przed nimi, jakby znikąd, wyłoniła się starucha, Elena się domyśliła, że coś jest bardzo nie tak, ponieważ wiele z tych kobiet miało białą skórę – filigranowe jasnowłose panny harowały ramię w ramię z meksykańskimi dziewczkami, co pozwoliło jej wyobrazić sobie, w jaki sposób doszło do zgromadzenia tej kompanii. Jedne były odziane w łachmany, drugie miały na sobie przechodzone kostiumy wykorzystywane niegdyś przy okazji przedstawień dawanych w saloonach, wszystkie zaś nosiły mocny, groteskowy wręcz makijaż na posiniaczonych, umorusanych twarzach, zupełnie jakby próbowano je zawstydzić, niektóre przy tym wyglądały na chore i aż ugiwały się pod

brzemieniem obowiązków. Elena słyszała jęki i śmiechy, skądś też jej uszu doleciał zduszony krzyk.

Gdy więc z otaczającego je dymu wynurzyła się stara hechicera^[5], obawa o ich bezpieczeństwo, którą Elena czuła do tej pory, przerodziła się w czysty strach.

Stara jak góry? Nie, pomyślała. Ale wystarczająco wiekowa. Niewyobrażalnie nawet.

Pod czarnymi koncentrycznymi kręgami wymalowanymi na jej policzkach i brodzie, czarnymi półksiężycami podkreślającymi zapadłe oczy, którymi przewiercała je obie na wylot, i czarnymi krechami przecinającymi wargi oraz nos kryła się obwisła skóra, zdająca się ściekać z przerażającego oblicza niczym ślimaczy śluz. Nosiła prostą suknię, wystrzępioną i na tyle cienką, że można było przez nią dostrzec uwiędłe, poorane bruzdami zmarszczek ciało, w tym obwisłe piersi zwieńczone wielkimi, ciemnymi, wskazującymi ziemię sutkami. Włosy miała długie, zmierzwione, cuchnęła siarką i zepsutą krwią. Jej głowę zdobiła pobieląła od słońca czaszka kojota, która choć wydrążona w środku, zachowała w komplecie górne kły.

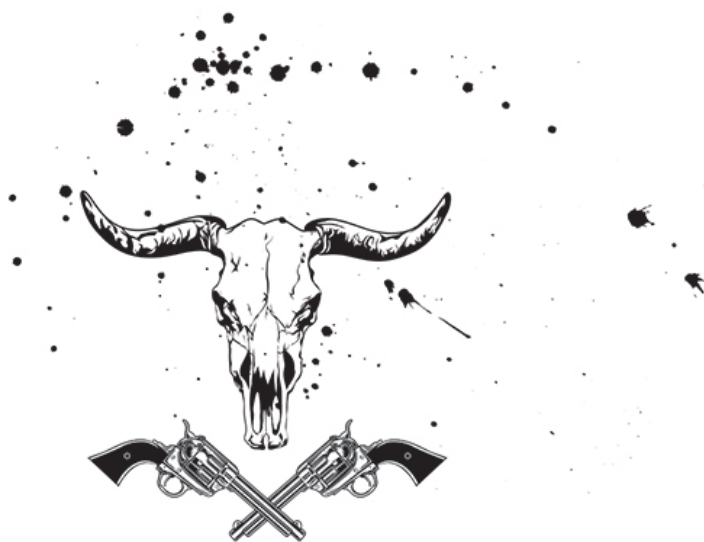
Wyszczерzone zęby martwego zwierzęcia nie różniły się wiele od uśmiechu wiedźmy.

W obu dłoniach trzymała, zaciskając palce tuż za ich łbami, wijące się wokół jej przedramion żywe grzechotniki. Ich widok, a może zapach staruchy spłoszył wierzchowce, które parszając i rżąc, próbowały się wycofać.

Gustavo zdmąknął przed kobietą kapelusz. Białas tylko zdawkowo się uklonił, gdy ją mijali.

Wciąż będąc pod wrażeniem zjawy, która jej się ukazała, Elena obróciła się w siodle i dzięki temu dostrzegła, że u boku wiedźmy stają dwie młodsze kobiety, powiedziałaby, że w średnim wieku, odziane w czarne szaty. Jedna była chuda jak patyk, miała hardą, ponurą, pozbawioną wyrazu twarz, ale za to miłą dla oka. Druga była przysadzista, o niepochlebnych rysach wieśniaczki.

Siostry Valenzura: Ewa, Maria i Lucia.
Strażniczki piekieł.



CZTERY

– CO TO ZA CHOLERNE WYGLŹUPY Z SAMEGO RAŃCA?

Rozłożone na podłodze chaty cielece skóry wydawały się poprzedniego wieczora wystarczająco duże dla całej trójki, ale rano było ich za mało nawet dla dwóch ludzi. Obudziły mnie ryki wielkiego brodatego mężczyzny o posturze niedźwiedzia i w przeupoconych kalesonach, który gapił się na moje białe stopy tylko o cal odległe od czubka jego łysiejącej głowy. Człowiek, który po ciemku jawił mi się pochrapującym dobrodusznym wielkoludem, w okamgnieniu zmienił się w krwiookie wcielenie wrogości. Wydawało mi się całkiem prawdopodobne, że za moment urwie mi obie nogi i zbije mnie nimi na kwaśne jabłko.

Gdzie podziewa się Hart, gdy go najbardziej potrzebuję?

W tej samej chwili poczułem zapach kawy.

– Spokojnie, Matka. Ten oto dżentelmen nazywa się Marion T. Bell.

Stał przy poczerniałym piecyku, który mógł pamiętać wojnę brytyjsko-amerykańską z tysiąc osiemset dwunastego roku.

– Bell? W życiu nie słyszałem o żadnym cholernym Bellu!

Wstał, włożył postrzępione szare portki, naciągnął szelki na ramiona i na tym zakończył ubieranie. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie odłożyłem własne spodnie, i na wszelki wypadek nie ruszałem się z posłania. Przynajmniej do czasu, aż się nie uspokoi. Patrzyłem więc tylko, jak tupiąc, idzie w stronę Harta, i jak Hart nalewa z poplamionego cynowego rondla coś brązowego, parującego i prawie tak gęstego jak syrop.

Napełnił trzy kubki, po czym podał jeden Matce, który osuszył go natychmiast.

Trudno mi było oprzeć się wrażeniu, że na obiad zajada płonące kaktusy.

– Pomyślałem, że przyda nam się ktoś trzeci.

– On? Słodki Jezu, Hart. Toż to żółtodziób. Spójrz tylko na niego!

Odwrócił się do mnie. Zdażyłem już wstać i rozglądałem się właśnie za koszulą i spodniami. Znalazłem je bez większego trudu, równo złożone na jedynym krześle, pod którym stały też moje buty. Robota Harta bez dwóch zdań.

– Jesteś żółtodziobem, sam przyznaj! Jezu Chryste, Hart. Rzucasz mi tego dzieciucha przed pysk z samego rańca, a ja nie wiem, co o tym myśleć, naprawdę nie wiem. Czasami cię nie rozumiem, wiesz? Nie mam pojęcia, co się tam roi w tej twojej łepetynie, Bóg mi świadkiem. Ale chyba przydałby się trzeci do roboty. Taaak... Umie jeździć? Chyba umie, co? Umiesz jeździć, do jasnej cholery, czy nie?

– Pojechał za Scottem do Mexico City.

– Za generałem Scottem? Tą bryłą lodu? A niech mnie. Jestem Matka Piącha, a ty jesteś Marion T. Bell. Miło poznać.

Wyciągnął do mnie rękę.

Tego uścisku dłoni tak łatwo nie zapomnę.



Tamtego dnia dosiadłem nie własnego konia, tylko podsuniętej przez nich młodej kasztanki, której także nie zapomnę, choćby dlatego, że lepiej ode

mnie wiedziała, gdzie i po co się wybieramy. Opodał sezonowego strumienia natknęliśmy się na pięć pasących się koni, piękne były, wszystkie kasztany i gniadosze – może nie do końca wyglądające na potomków andaluzyjskich rumaków, ale także silne i wysokie – któreśmy wrzeszcząc jak opętani, zagonili z rozległej równiny zalewowej prosto w gardziel ślepego kanionu, wykorzystywanego przez Harta i Matkę już w przeszłości; teraz pierwszy pilnował prawej, drugi lewej, a Suzie i ja środka, co było łatwizną, ponieważ dzikie konie ze swej natury próbują zawsze wiać na boki.

Moja kasztanka odwaliała całą robotę, ja musiałem jedynie uważać, by utrzymać się w siodle – co i tak było sporym wyzwaniem, zważywszy na jej miotanie się w obie strony, gdy kopiowała ruchy znajdujących się przed nią koni, jak również na to, że gnała przy tym ze znacznie większą prędkością niż jakikolwiek wierzchowiec, którego miałem okazję dosiadać; Suzie nie zwolniła nawet po tym, jak mustangi znalazły się już w kanionie, tylko pogalopowała z powrotem do jego wylotu i kręciła się przy nim, robiąc ostre zwroty, by uniemożliwić trzem z nich wyrwanie się na wolność, podczas gdy Hart i Matka zajmowali się pozostałymi dwoma, poduszając je lassem, powalając na ziemię i pętając liną najpierw przednie, potem tylne nogi, a gdy uporali się z tą parą, wrócili na siodła i powtórzyli wszystko od nowa z dwójką kasztanów, po czym Matka w pojedynkę poradził sobie z piątym i zarazem ostatnim.

Obserwowanie, jak człowiek rozmiarów Matki uwija się z taką szybkością i zręcznością, było prawdziwym przeżyciem. Zwinność Harta mnie nie dziwiła, ale jego towarzysz okazał się dla mnie prawdziwym objawieniem. Czulem drżemiącą w nim moc, lecz o grację nigdy bym go nie posądzał. Tymczasem był jej pełen, i to z naddatkiem.

W kolejnych tygodniach to właśnie on, a nie Hart tłumaczył mi, jak robić węzeł przesuwny, jak rzucać lassem, dlaczego i jak długo odmawiać zgonionemu koniowi poidła i żłobu, jak ścierać pot z końskich boków i grzbietu, ile szcztokować wierzchowca, dopóki nie ochłonie. Hart

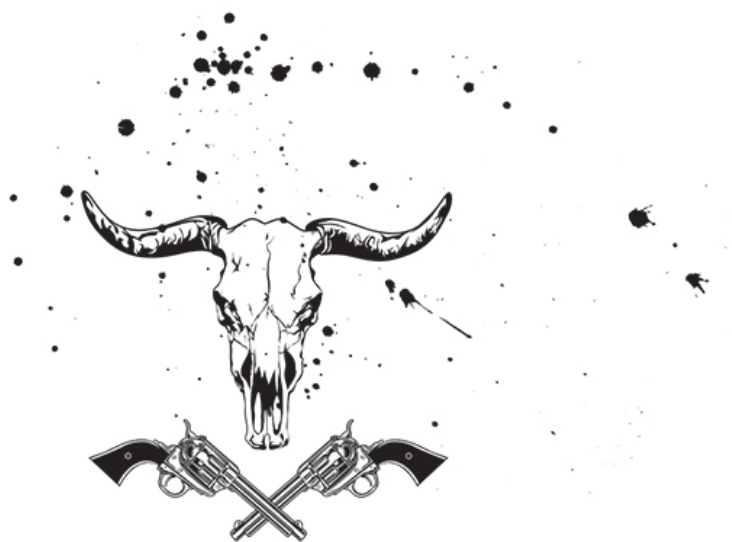
traktował mnie z pewnym chłodem. To Matka pokazał, że zasługuje na swój przydomek.

Nie mogę powiedzieć, żebym został mistrzem w tym, co robiliśmy, ale dzięki pomocy Matki nie wyszedłem też na głupca. Nadal zaglądaliśmy często z Hartem wieczorami do saloonu – Matka towarzyszył nam tylko od czasu do czasu – ale mając w perspektywie pracę od bladego świtu, dość szybko zmieniłem zwyczaje. Nie uśmiechało mi się galopować na grzbiecie Suzie, kiedy łeb pęka od kaca. Kabzę miałem pełną i dbałem, by taka pozostała. W niektóre wieczory zostawałem w chacie i zamiast picia oddawałem się pisaniu. Liczba depeesz wysyłanych do Nowego Jorku znacznie dzięki temu wzrosła.

O ile jednak to Matce zawdzięczałem wszystkie nauki, o tyle za odmianę losu dziękowałem Hartowi. Dlatego też nigdy nie irytował mnie jego dystans – uznałem po prostu, że taki już jest.

Zmieniłem zdanie, gdy spotkaliśmy Elenę.

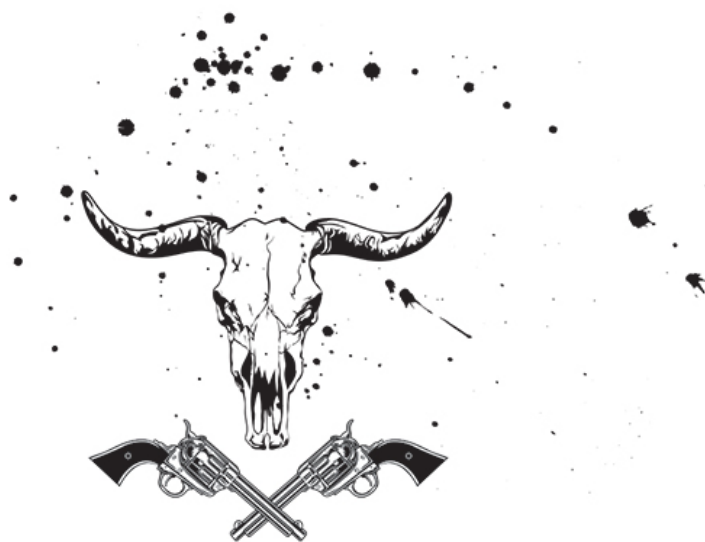
Wtedy zacząłem się o niego martwić.



PIĘĆ

– Ty, gryzipiórek – powiedziała. – Pisz. Niech to znajdą przy naszych ciałach.

Zrobiłem, o co poprosiła.



SZEŚĆ

Czasami dopisywało nam szczęście, a innym razem mimo wysiłków wracaliśmy do chaty z pustymi bukłakami i pyłem zgrzytającym pomiędzy zębami – tego konkretnego wieczora, tuż przed zapadającym szybko zmrokiem, prowadziliśmy za sobą dwa spętane przysadziste mustangi. Zapędziliśmy się za nimi tak daleko, że prócz rytmicznego klikania kostek Harta słyszałem tylko szum płynącej w pobliżu rzeki.

Matka trzymał się z tyłu, prowadząc na uwięzi obie zdobycze i żując kawałek wyłowionej z juków suszonej wołowiny. Między Hartem i mną panowało jak zwykle milczenie, ale tym razem postanowiłem je przerwać. Od dłuższego czasu gnębiła mnie pewna sprawa.

– Tamtej nocy, gdy mnie tu przywiozłeś – powiedziałem – wcześniej grałeś w pokera z Donaldsonem. Był gotów cię zastrzelić, a ty tam zwyczajnie siedziałeś.

– No? I co?

– To, że był gotów cię zastrzelić. W życiu nie widziałem dziwniejszej sceny.

– Pewnie masz rację, zastrzeliłby mnie jak nic.

– Skąd więc u ciebie wtedy ten spokój?

– Taki już jestem. Znaczący spokojny. Wiesz, Bell, ja nie mam za bogatej wyobraźni. Staram się przygotować na każdą ewentualność najlepiej jak umiem. A poza tym ufam szczęściu i tyle.

Musiałem się w tym momencie zastanowić, czy powodem, dla którego utknąłem tu, na tym zadupiu, zamiast mieszkać w Bostonie, Cambridge czy Nowym Jorku, nie jest po części moja zbyt bogata wyobraźnia. Umiałem sobie wyobrazić grzechotnika pod łóżkiem albo skorpiona w bucie, robiłem to nieraz i dlatego co rano grzebałem pod pryczą patykiem i wytrząsałem sumiennie oba trepy. W tych okolicach można zginąć na tysiąc sposobów, o czym przekonałem się naocznie podczas wojny, w miastach takich jak Puebla, Churubusco i Mexico City. To wystarczyło, by prześladowały mnie wizje własnej śmierci.

Dziki Zachód to nie bajka pokroju „Nellie, córka szmaciarza” czy „Przygody Pecosa Billa”. Nie żadna tania opowiadka. Dziki Zachód to gangrena, wieczne pragnienie, rzeki spływające krwią i niebo tak wielkie, że z łatwością może cię zgnieść na miazgę.

– Masz rodzinę, Bell? – rzucił zniecierpliwiony Hart. – Nigdy cię o to nie pytałem.

– Mam brata. I pewnie kilkoro bratanków i bratanic. Ale nie pisujemy do siebie. Skąd to nagle zainteresowanie?

Zamiast odpowiedzieć, skinął tylko głową.

– Dobrze mieć rodzinę – stwierdził.



Mijaliśmy właśnie kępę gęstych krzewów, gdy konie nagle zaczęły parskać, jakby się czegoś wystraszyły. Hart ściągnął natychmiast wodze, osadzając swoją klacz w miejscu, i zamienił się w słuch. Zrobiłem to samo z Suzie. Matka podjechał do nas powoli.

– Co my tu mamy, John? – zapytał.

– Coś tam jest. Może jakiś kot.

Hart wyciągnął winchestera z olstra, odciągnął kurek i położył broń w poprzek siodła, a wtedy i my usłyszeliśmy, że coś rzeczywiście zmierza w naszym kierunku, nie dalej niż osiem jardów od nas. Przez dłuższą chwilę nadstawialiśmy tylko ucha, aż Hart zeskoczył z konia, mamrocząc pod nosem, że „to nie żaden cholerny kot”, o czym sami przekonaliśmy się wkrótce, gdy doleciało nas ciężkie dyszenie; John ruszył w stronę zarośli z bronią gotową do strzału i wtedy z krzaków wytoczyły się na niego dwie niewyraźne postacie. Podtrzymywały się wzajemnie, lecz z marnym skutkiem, i moment później zwały się na ziemię tuż przed Hartem.

Cofnął się przed nimi instynktownie, dzięki czemu spostrzegłem, że są to dwie kobiety. W zmierzchu nie dało się stwierdzić, czy pokrywa je brud czy krew, ale co do jednego nie mogło być wątpliwości: obie były kompletnie nagie.

Zeskoczyłem z konia, Matka poszedł w moje ślady.

– A niech mnie! – sapnął.

Z bliska się okazało, że jedna z nich to jeszcze młódka, nie wiem, czy miała szesnaście lat, blada, wychudzona, rudowłosa, z zakrwawioną twarzą, wykrzywioną przez ból, i z nierównym charczącym oddechem, który chwilami całkiem zamierał.

Ale to ta druga przeraziła mnie na śmierć.

Wydawała się dzika.

Nie da się tego inaczej opisać. Spoglądała na nas z klęczek, zasłaniając tę białą, i naraz jawiła się pięknnością i postrachem, z jej oczu ział chłód na podobieństwo ślepi węża albo wilka, którego łapa od dawna tkwi w sidłach, a wysokie, wydatne kości policzkowe zaświadczały, że w jej żyłach płynie indiańska krew, choć nie tylko o to chodziło – było w niej bowiem też coś pradawnego, bardziej prymitywnego, coś, co przywodziło na myśl zupełnie inny świat.

Zauważyłem, że Hart się wzdrygnął, gdy padło na niego spojrzenie starszej dziewczyny, i w pierwszej chwili trudno mi było uwierzyć, że cokolwiek jest w stanie wywołać u niego taką reakcję, ale zaraz zrozumiałem powód.

Nóż rozplątał twarz tej kobiety od policzka aż po brodę. Plecy i nogi miała poznaczone śladami bata. Na wewnętrznej stronie lewego uda widniała wypalona żelazem litera V, prawie już zagojona. Otarcia na nadgarstkach i kostkach świadczyły o tym, że była często i długo wiązana. Z rany po dźgnięciu w dolną część pleców nadal sączyła się krew.

Mimo to podpieraała białą dziewczynę.

– Święci niebiescy – wymamrotał Matka.

Podszedł do niej, schylił się, wyciągnął dłoń.

– Nic wam już nie grozi – powiedział. – Spokojnie. Spokojnie...

Oderwała wzrok od Harta, który zabezpieczył broń, ale prócz tego nie wykonał żadnego ruchu – wyglądało to tak, jakby nie miał zamiaru zbliżyć się do tej ciężko rannej kobiety, mimo że powinien, nie było jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, roztrząsając jego zachowanie czy je oceniając

–

i podniósłszy się, podeszła prosto do stojącego przed nią Matki. Choć naga i bezbronna, w moich oczach nadal stanowiła zagrożenie, nawet gdy tuliła tę drugą do piersi.

Wielkolud zerknął na Johna, zmarszczył czoło, po czym wbił wzrok we mnie.

– Pomóż mi, Bell. – Zwracając się do tej starszej natomiast, powiedział: – Może ją panienka już puścić. Może ją panienka nam oddać. My się nią zajmiemy, dobrze? Obiecuję. Zaopiekujemy się wami obiema.

Wężowe spojrzenie zaczynało powoli łagodnieć. Koniec końców podała Matce rękę, pozwalając, by biała dziewczyna wpadła prosto w moje ramiona, Matka z kolei podniósł ją samą z taką łatwością, jakby była

dzieckiem. Zaniósł ją do swojego konia, posadził na ziemi obok, po czym rozwinął koc i zarzucił jej na ramiona.

Nie miałem pojęcia, jak wywiązać się ze swojej części zadania. Dziewczyna wydawała się tak krucha, że samo trzymanie jej na rękach mogłoby ją zabić jakimś cudem, a do tego została dźgnięta nożem między

żebra, skąd teraz sączyła się nieprzerwanie krew, i miała też świeże rozcięcie na czole. Na szczęście do akcji wkroczył Hart.

– Daj mi ją – rzucił.

Podał mi broń, by mieć wolne obie ręce, i zabrał dziewczynę.



Dotarcie do chaty zajęło nam dobre trzy godziny, w czasie których księżyc wspiął się wysoko na niebo i zaczął świecić jasnym blaskiem. Mnie przypadła rola tylnej straży, prowadziłem też schwytane mustangi, podczas gdy Meksykanka, która miała dopiero nam się przedstawić imieniem Elena, jechała w siodle za Matką, ledwie obejmując rękoma jego masywny tors. Rudowłosą Hart posadził przed sobą, tak że byli zwrócenii do siebie twarzami, przytulał dziewczynę do piersi jednym ramieniem, pilnując, by okrywający ją koc się nie zsunął, w drugiej ręce zaś trzymał wodze.

Zboczyłem nieco, by zaprowadzić mustangi do corralu^[6], po czym popędzając Suzie piętami, dołączyłem do reszty. Matka zdążył już posadzić Elenę na rozchwianych schodkach przed chatą i właśnie ściągał z konia młodszą z dziewczyn, która jak spostrzegłem, zakrwawiła Hartowi cały przód koszuli i górę spodni. Był dosłownie przesiąknięty jej krwią, lśniąca czernią w mroku.

Głowa młódki opadła do tyłu. Ramiona zwisały jej bezwładnie. Twarz miała białą jak marmur, a oczy szeroko otwarte i puste. Brodę znaczyła strużka ciemnej, zaschniętej krwi.

– Wygląda na to, że to stało się jakiś czas temu – zauważył Matka.

– Owszem.

– Mogłeś coś powiedzieć.

– Powiedziałem – zapewnił Hart. – Pożegnałem się, jak należy.

Zeskoczył z konia, uwiązał go porządnie, po czym przeszedł obok Eleny, która spoglądała na niego w taki sposób, jakby był winien tej śmierci.



Matka pochował młodszą z dziewczyn. On też opatrzył rany Elenie.

Hart nawet się do niej nie zbliżył.

Można było odnieść wrażenie, że znali się z dawnych czasów, ale gdy zapytałem o to wprost, John zaśmiał się tylko, ale mnie nie spodobał się ten śmiech.

Po tym, jak Matka usypał grób, zajęliśmy się oporządzeniem koni, a Elena, która zasnęła do tego czasu, zaczęła drżeć od gorączki. Żaden z nas nie był pewien, czy dociągnie do rana. Gdy Matka wszedł do chaty i odstawił łopate, podałem mu kubek z kawą, on zaś stanął nad Hartem, który dokładał dREW do ognia.

– Ktoś ją naznaczył – powiedział.

– Wiem. Tę też.

– O co tu może chodzić, do diabła?

– Nie wiem, co o tym myśleć.

– Ani ja. Ale zabiło ją dźgnięcie nożem. To jedno jest pewne. Przyjrzałem się dobrze, było bardzo głębokie. Aż dziw bierze, że biedaczka dożyła naszego spotkania.

– Młodzi rozpaczliwie chcą żyć.

Matka upił łyk gorącej kawy i rozejrzał się po chacie.

– To jak będzie?

– Z czym?

– Gdzie będziemy spać?

– Na podłodze. Zostawmy jej skóry i ogień. Niech się wypoci. Mamy dość koców na trzech.

Matka zerknął w kierunku Eleny. Wyglądał na lekko onieśmiałonego.

– Nigdy nie gościłem kobiety w tym domu – przyznał. – Ani razu.

– Nic się nie zmieniło. To przecież Meksykanka.

– Tak myślisz?

– A ty nie?

Wielkolud ponownie przyjrzał się Elenie.

– Nie, Hart. Nie powiem, żebym tak o niej myślał. Ale tak się zastanawiam... Czy ona ci przypadkiem kogoś nie przypomina?

John obrzucił gorączkującą wzrokiem.

– Nie – stwierdził. – Nikogo.

Wypowiedział te słowa tak bezdusznym i zimnym tonem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem.

Uznałem, że co jak co, ale kłamać też nie umie.



Z początku myślałem, że zbudziło mnie w nocy wycie kojotów, lecz było to mylne skojarzenie. Usłyszałem Elenę, a raczej jej głos, któremu tylko wtórowały zwierzęta, stanowiąc akompaniament dla jakiegoś gardłowego nieznanego mi języka, który nie przypominał ani angielskiego, ani hiszpańskiego, i którego szczerze powiedziawszy, wolałbym nigdy nie słyszeć; był to gwałtowny szept, coś niby pieśń pozbawiona dźwięcznych samogłosek, które zastępowała seria krótkich chropawych przerywników dzielących drżące, uderzeniowe wręcz spółgłoski, wszystkie te klikania, syki i warknięcia zdające się pochodzić od matki natury, z dziczy, dżungli nawet, choć nigdzie w okolicy byś jej nie uświadczył, coś jakby grzechot i szelest wijących się jadowitych węży, brzęczenie roju pszczoł, skowyt kojota, szmer liści poruszanych mocniejszym powiewem wiatru, wszystko to wymieszane, powtarzające się raz po raz, przy każdym wychyle ciała wypływające z ust nagiej klęczącej przed ogniem kobiety, po której wysmaganych batem plecach spływały krople potu, skapujące na chrust i skwierczące później w płomieniach. Opodal niej dostrzegłem oparty o polana maleńki krucyfiks zrobiony z dwóch patyczków powiązanych paskami materiału. Obok stał cynowy talerz pełen mąki kukurydzianej, drugi wypełniony nasionami kawy i trzeci, po którym rozlewały się dwa rozbite jajka.

Dobrała się do naszej spizarni, cicho jak duch.

W blasku migotliwych płomieni faktycznie można było ją uznać za ducha z krwi i kości. Jakiegoś pradawnego indiańskiego demona,

przyzywającego swoich współbraci.

Tylko że od czasów Corteza minęło trzysta lat. Aztekowie, Majowie i Toltekowie – wszyscy dawno już wyginęli. Ale czy na pewno?

Przypomniałem sobie dzikość w jej oczach, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Byłem ciekaw, jak teraz wyglądają.

Sięgnęła po talerz z mąką i sypnęła nią w płomienie. W woni dymu poczułem zapach pieczonego chleba. Ciałem Eleny wstrząsnął dreszcz. Odstawiła talerz i sięgnęła po kawę, by i nią sypnąć w ogień, a ja poczułem zapach naparu, który budził mnie każdego ranka. Drzenie przybrało na sile. Głowa dziewczyny przechylała się najpierw z boku na bok, potem kołysała się rytmicznie w górę i w dół, a pieśń płynęła w coraz szybszym tempie. W końcu znów wyciągnęła rękę.

Nie zdziwiło mnie, że poczułem zapach jajecznicy, jakby smażyła ją na patelni.

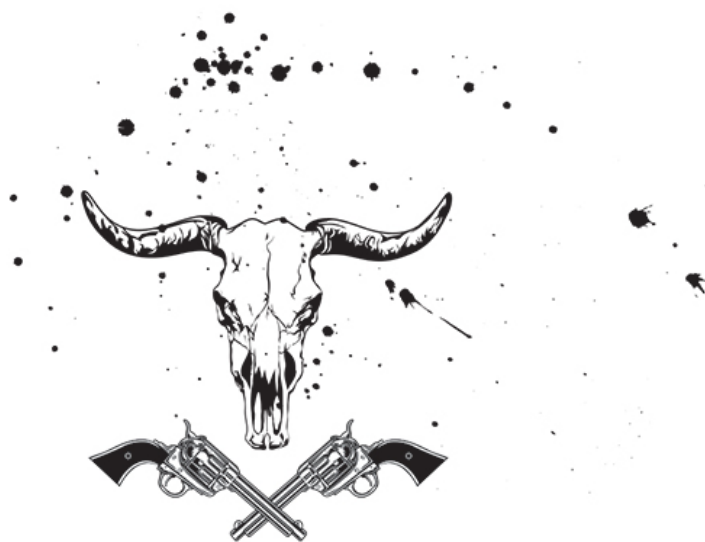
Rozłożyła nagle nogi i dopiero ten erotyczny w swej istocie gest mnie zdumiał, ponieważ uświadomiłem sobie, że wszystko, co widzę i słyszę, służy przyzwaniu jakiegoś bytu, mogłem sobie nawet wyobrazić mężczyznę, który leży pod nią przy palenisku, a którego niewidzialną postać dało się zauważyć nie wcześniej, niż uniosła pośladki, po czym opuściła je równie gwałtownym ruchem.

Coś kazało mi odwrócić wzrok i spojrzeć na Matkę i Harta. Ten pierwszy spał obrócony twarzą do ściany.

Oczy Johna były otwarte. Także się przyglądał.

Elena jęknęła, zadrżała, po czym umilkła. Opuściła głowę i opadła na czworaka, przez moment dyszała tylko ciężko, po czym przewróciła się na bok, prosto na koc. Zamknąłem oczy, udając, że śpię.

Sen nie nadszedł jednak szybko.



SIEDEM

Powiedziała nam, że pamięta dzień, w którym zrozumiała, jak straszne jest to, co je spotkało. Nie tylko gwałty i upokorzenia, nie tylko zatłoczone cuchnące nory, w których przyszło im mieszkać, nie tylko wykańczająca praca w zagrodach pełnych kóz albo kur, bądź w ogrodach pod palącym okrutnie słońcem czy w pralni lub kuchni, gdzie zawsze co najwyżej dreptały spętane w kostkach niczym konie. Nie tylko ciągle batożenie.

Pamiętała dzień, w którym złożyła swoją pierwszą wizytę w hacjendzie.



Przebywa tam od zaledwie pięciu dni. Od dwóch nie widzi swojej siostry Celiny, co także jest dla niej torturą. Stoi właśnie przy studni i nabiera do cebra wody, potrzebnej w kuchni.

Maria, średnia z siostr, wąskousta, oschła i ponura, woła ją z werandy. Zajmiesz się tym później, mówi. Teraz chodź tutaj. Elena odstawia ceber i rusza przed siebie, mijając jedno szerniałe miejsce po dopalonym ognisku, potem drugie. Z trudem wspina się na werandę. Ze związanymi w kostkach nogami może robić

tylko maleńkie kroczyki, pokonywać tylko jeden stopień naraz. Maria nie ma do tego cierpliwości. Pośpiesz się, durna dziwko, syczy.

Hacjenda wygląda z zewnątrz na starą i zaniedbaną. W środku Elenę uderza głębia bogactwa sióstr Valenzura. Krótki korytarz prowadzi do podwójnych dębowych drzwi, które otwierają się na przestronną salę, w niej zaś z lśniących, kunsztownie zdobionych sklepień z dziurkowanej cyny zwisają złote żyrandole, stoją marmurowe kominki, meble z drewna jałowca, dębu i mahoni, malowane ręcznie regały na książki, a ozdobę stanowią barwne gobeliny i malunki na korze przedstawiające małpy, węże i jaszczurki, oślepiające blaskiem maski słońca i jaguara, ogromne zwierciadła w złoconych ramach. Najwięcej jednak jest tam wizerunków wilka.

Pod postacią żelaznych, glinianych, kamiennych figurek. Pod postacią obrazów i haftów. Wilk jest ich naguelem. Zwierzęciem, z którym związały swoje losy.

Elena idzie za Marią przez obszerną salę, która skrywa te wszystkie cuda, mija polerowane dębowe schody oddzielające od siebie dwa korytarze, jeden jasno oświetlony i wyścielany grubym chodnikiem, z obrazami na ścianach i doniczkowymi kaktusami kwitnącymi na żółto i czerwono, drugi zaniedbany, mroczny i goły, w który właśnie się zagłębiają. Elenę już od pewnej chwili niepokoją dobiegające stamtąd dźwięki. Mijają kolejno sześć pokoiów, pozbawionych drzwi, które po zdjęciu z zawiasów ustawiono pod przeciwległymi ścianami: trzy po lewej i tyle samo po prawej stronie. W pierwszym pokoiku stoi tylko łóżko z poplamionym materacem. W kącie drugiego kuli się młoda zapłakana Meksykanka okryta wyłącznie rebozo^[7]. Ręce ma skute w nadgarstkach przed sobą.

Trzeci także jest pusty, jeśli nie liczyć zwisającej z sufitu pajęczyny ciężkich łańcuchów. Czwarty naprzeciw stanowi jego lustrzane odbicie, tyle że zamieszkane. Kobieta mniej więcej w wieku Eleny kołysze się w powietrzu podpięta za kajdanki do jednego z ogniw, wygląda na nieprzytomną, być może nawet martwą. W jej zapaskudżonym serape^[8] widnieje dziura biegnąca przez sam środek. Stopami prawie sięga podłogi, twarz ma zakrwawioną po niedawnym pobiciu.

Przy piątym otworze drzwiowym Maria nieomal wpada na opastego soldado, który wychodząc na korytarz, utyka poły koszuli w spodniach i na widok jednej z sióstr Valenzura klania się potulnie, po czym szybko schodzi jej z drogi. Elena

zerka przelotnie do środka i widzi rozciągniętego na łóżku, nagiego, zapłakanego rudzielca o splątanych włosach.

Najgorsze jednak okazuje się szóste pomieszczenie. To z niego dolatują dźwięki, które słyszy, odkąd wkroczyła do tego korytarza.

Ktoś zbiera straszliwe razy.

Elena dostrzega znanych jej już mężczyzn – Gustavo, półkrwi Indianina o płaskiej twarzy, z którym przyjechała w siodle, oraz Fredo, grubasa wiozącego jej siostrę. Ten drugi trzyma w ręku krótki nabijany ćwiekami bicz. Stoją po przeciwnych stronach stołu, do którego nóg przywiązano w pozycji leżącego orła dziewczynę postury i wyglądu Celiny. Elena zamiera, pewna, że patrzy na siostrę. Nie mając co do tego najmniejszych wątpliwości, w konfuzji gniewu i strachu na widok jatki urządzonej przed jej oczyma, omal nie wparowuje do pokoiku mimo skrzepowanych nóg, sama śmierć nie zdołałaby jej przed tym powstrzymać, gdyby nie to, że umęczona dziewczyna nagle odwraca głowę i Elena dostrzega na jej karku nerkowate znamię, którego jak wie, Celina nie nosi, zatem to nie Celina, tylko czyjaś inna siostra, której zgotowano ten los.

Rusz się, kurwo, syczy do niej Maria.

Rusza więc posłusznie przed siebie, ignorując ból coraz bardziej ocieranych przez więzy kostek, z trudem pokonuje kolejne stopnie schodów, pierwotnie jak nic przeznaczonych dla służby, a teraz prowadzących do jeszcze jednego korytarza, z którego dobiegają nie mniej niepokojące dźwięki, niebędące może krzykami, ale wyrazem ogromnej udręki na pewno, wydawane niewątpliwie przez kobietę. Maria czeka już na nią przy wejściu do najbliższego pomieszczenia, gniewnym gestem nakazuje Elenie, aby przekroczyła próg, za którym obecnie słychać też niedający się z niczym pomylić płacz dziecka.

Pokój rozświetla kilkanaście zapachowych świec, ale nawet one nie są w stanie zamaskować smrodu krwi, niezdrowego potu i uryny, bijącego od leżącej na łóżku kobiety, tej, która powiła przed chwilą dziecko trzymane przez tę starą jędzę Ewę. Kwilące niemowlę owinięto w cienki biały ręcznik. Kto by nie kwilił, gdy gapi się na niego z góry bezzębna szkarada, myśli Elena, przyglądając się, jak Lucia o świńskiej twarzy usuwa łożysko. Za nią, w cieniu, stoi Paddy Ryan.

Chłopak czy dziewczynka? pyta Maria.

Chłopak, odpowiada Lucia, wzruszając ramionami.

Szkoda, mruży Maria, dokładnie jak to przewidziała Elena. I zwracając się do niej samej, dodaje: Zabierz go. Dziewczyna wiele by dała, by nie musieć się zbliżyć do położnicy i jej dziecka, ale robi posłusznie, co się jej każe, za wszelką cenę unikając dotyku poźółkłych gruzłowatych dłoni starej wiedźmy. Jesteś gotowy, Ryan?

Jestem.

Pójdiesz z nim, rzuca Maria do Eleny.

Białas prowadził ją tą samą drogą, którą przyszła, ale tym razem Elena świadomie nie zagląda do żadnego z mijanych pokoi, choć słyszy wrzaski dziewczyny i trzask bicz. Niemowlę w jej rękach ciągle płacze, nie wie, co mogłaby uczynić, aby je uciszyć. Przecinają podwórze, docierają pod nieporośnięty niczym pagórek i zaczynają się wspinać. Nigdy wcześniej tutaj nie była, ale wie, jak nazywają to miejsce. Garganta del diablo – Gardziel diabła. Widziała pióropusze czarnego dymu, nieustannie unoszące się na wietrze.

Gdy są już blisko wierzchołka, Elena zatrzymuje się dla złapania oddechu i przy okazji ogląda się za siebie, na hacjendę. Wszystkie trzy siostry stoją na werandzie, obserwując ją uważnie. Dziecko już nie płacze. Traci z oczu Ryana, gdy ten znika za grzbietem wzniesienia. Słońce praży. Elena podejmuje wspinaczkę.

Czeka na nią na szczycie, stojąc obok wysokiej jak on piramidy poczerniałych czaszek.

Powietrze jest gęste od smolistego dymu wydobywającego się skądś za jego plecami.

Niektóre czaszki są bardzo małe, wszystkie za to – ludzkie.

Elena wybucha płaczem.

Dawaj je tutaj, rozkazuje jej Ryan.

Nie możesz tego zrobić! krzyczy do niego.

Blizna na jego policzku kurczy się, kiedy się uśmiecha.

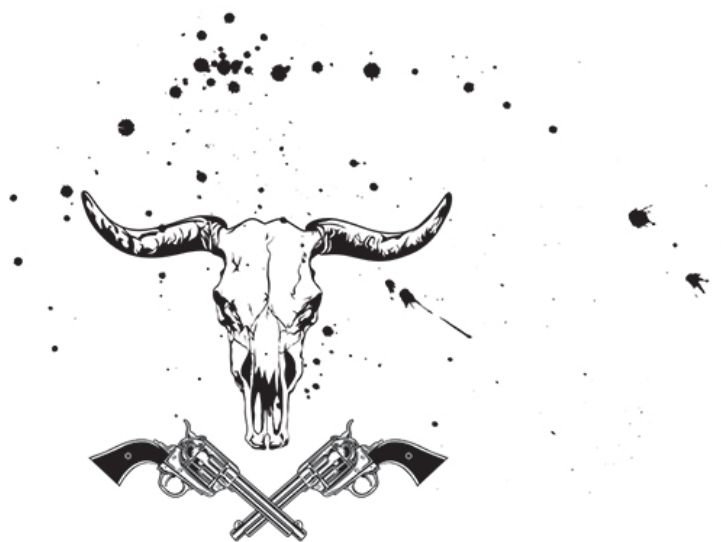
Oczywiście, że mogę. Głos ma spokojny, beznamiętny. Dawaj je tutaj albo zginiecie oboje. Twój wybór.

To przecież dziecko!

Chłopiec na nic nam się nie przyda. Takie tutaj mamy zasady. Wyciąga rewolwer z kabury i kręci bębenkiem. Twój wybór, powtarza.

Podchodzi bliżej i zatrzymuje się w miejscu, z którego może zajrzeć do jamy mającej sześć albo siedem stóp średnicy, kątem oka dostrzega leżącą obok żelazną szufłę z długim trzonkiem, widzi też buzujące w dole czerwono-niebieskie płomienie, przynajmniej dopóki nie zaciśnie powiek, gdyż Ryan już odbiera od niej niemowlę, malec zaczyna oczywiście znów płakać, nie podoba mu się pewnie, że ich rozłączono, sama zresztą też otwarcie ryczy, słysząc, że może wracać do pracy, co też robi – jest już w połowie stoku, gdy płacz milknie jak nożem ucięty i jedynym, co odtąd zakłóca ciszę, jest świst wiatru hulającego między wzgórzami i meczenie kóz na podwórzu.

Łzy płyną jej z oczu z krótkimi tylko przerwami przez resztę dnia – czuje się tak, jakby straciła własnego syna albo brata – a wysychają dopiero wtedy, gdy pada późną nocą na pryczę i wyglądając przez szpary między deskami, wylawia wzrokiem Celinę, która wraz z innymi kobietami zasypuje piaskiem jedno z ognisk, wymęczona, posiniaczona i ewidentnie złamana, lecz żywa.



OSIEM

– Wstawaj, Bell. Dziewczyna zniknęła, u licha!

Alarm podniósł Matka, który wpadł właśnie do chaty.

– Co? Co się dzieje?

– Zabrała mojego konia. Ukradła mi deresza, do cholery.

– Co? Jak?...

– Mój koń i winchester Harta. Zwinęła wszystko, uprząż razem z siodłem też.

Odkopnął jej posłanie w najdalszy kąt.

– Elena?

– Jezu, Bell. A o kim według ciebie mówię? Jasne, że Meksykanka! Ta cholerna baba!

Nie mogłem uwierzyć, że wykrzeszała z siebie tyle sił, by osiodłać konia i na nim uciec. Przy takich obrażeniach musiało to być trudne. Zaraz jednak sobie przypomniałem, co widziałem minionej nocy.

– Gdzie Hart?

– Na zewnątrz. Na twoim miejscu przejrzałbym rzeczy, sprawdził, czego brakuje. Jesteś najmniejszy z nas, a jakoś wątpię, żeby chciało się jej cwałować nago. Lubilem tego konia, cholera.

Miał rację. Z mojej sakwy zniknęła koszula i para spodni. Nie były to najlepsze sztuki garderoby, jakie miałem, ale i nie najgorsze. Oczywiście taka strata to nic w porównaniu z koniem Matki i winchesterem Harta, ale wystarczyła, żebym poczuł się zdradzony. Dałbym jej te łachy, i to bez gadania, gdyby o nie poprosiła. Ale ona wybrała inne rozwiązanie.

Hart siedział na ganku w samych butach i kalesonach, palił papierosa i swoim zwyczajem klikał kostkami. Przycupnąłem obok z kubkiem kawy, spoglądając w kierunku corralu i dwóch nowych, niespokojnych mustangów. Mimo wczesnej pory słońce paliło jak diabli, co zapowiadało niezły upał, zwłaszcza że na niebie nie było ani jednej chmurki. Siorbiąc gorący napar, rozważałem nasze położenie.

– Minionej nocy, Hart, tam, przy palenisku...

– No? Co takiego?

– Sam nie wiem. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Ale wyglądało to niesamowicie, sam przyznaj. Ona się...

– ...uzdrawiała, Bell. Na stary sposób. Podobało ci się?

– Szczerze? Wcale. Wystraszyła mnie i tyle.

Uśmiechnął się, ale jakoś tak ponuro.

– Masz dobry instynkt, synu. Pamiętaj, jeśli zadrzesz kiedyś na poważnie z Meksykaninem, zdaj się na swój instynkt.

Wstał, rzucił niedopałek na ziemię i odwrócił się do drzwi.

– Co teraz?

Przystanął, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Cóż, Matce nie brakuje koni, ale ja miałem tylko jednego winchestera. Wychodzi na to, że musimy ruszyć za nią w pościg.

Chciałem mu zaoferować własną broń, tak bardzo nie leżał mi jego pomysł. Ale zmilczałem.



Wlekliśmy się cały dzień, aż do popołudnia, mijając kwitnące jukki, gwajakowce, opuncje i kaktusy *saguaro*^[9], przeczesywaliśmy gęste i rzadkie zarośla, brodziliśmy w trawie i wśród ziołorośli. Widzieliśmy zające w rui i sokoły szybujące wysoko dzięki prądom wstępującym. Teren był głównie suchy, pokryty pyłem, dzięki czemu ślady pozostawione przez Elenę nie miały przed nami tajemnic. To znaczy przed Matką i Hartem nie miały, bo ja niewiele widziałem.

– Powiesz mi, co ona wyprawia? – zapytał w pewnym momencie ten pierwszy.

– Przecież wiesz – odparł John. – Wraca tam, skąd przyszła.

Późnym popołudniem znaleźliśmy ją spoczywającą pod kępą rachitycznych drzewek, siedziała oparta o pień jednego z nich, deresz był uwiązany tuż obok, a winchester Harta leżał na jej kolanach. Wyglądała kiepsko, niemal równie źle jak wtedy, gdy natknęliśmy się na nią i jej siostrę – i nie chodzi tylko o to, że była wyczerpana, otworzyły się niektóre rany i zaczęły ponownie krwawić, barwiąc szkarłatem opatrunki zrobione przez Matkę, a nawet moją koszulę. Milczała, gdy zatrzymywaliśmy się opodal, patrzyła tylko uważnie na Harta, gdy ten zsiadał z karosza ze strzałką i podchodził z kamienną twarzą, by odzyskać swoją broń, którą zaraz wsunął w olstro, po czym zawrócił, pochylił się nad nią nagle i ująwszy ją za policzek dwoma palcami, ścisnął.

Miała tam głębokie rozcięcie, musiało więc ją to zabolec jak wszyscy diabli, ale nawet nie pisnęła.

– Musisz coś sobie zapamiętać, kobieto – powiedział. – Twoja przyjaciółka umarła na moich rękach zeszłej nocy. Czy to dla ciebie cokolwiek znaczy? A może masz to gdzieś? Chyba jednak nie. I tak nam się odwdzięczasz za pomoc?

Ścisnął jeszcze mocniej. Krew przesączyła się przez bandaż pod jego kciukiem.

– Hej! – zawołałem. – Jezusie, Hart!

Może i była złodziejką, ale też kobietą, i to ranną. Już zbierałem się, by zsiąść z Suzie, ale Matka powstrzymał mnie, wyciągając rękę.

– Nie wtrącaj się, synu.

– Lepiej go posłuchaj, Bell – rzucił John, po czym znów zwrócił się do dziewczyny. –

Odezwiesz się wreszcie? Bo zaczynam mieć już dość, że gapisz się na mnie jak jakiś Apacz, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Okradłaś mnie, Matkę i tego tam Bella, pytam więc, dlaczego to zrobiłaś, a jeśli nie zaczniesz zaraz gadać, zabiorę deresza i zostawię cię pod tym cholernym drzewem, żeby wilki albo kojoty miały tej nocy wyzerkę. Bo na razie widzę przed sobą zwykłą skończoną idiotkę.

Puścił ją i cofnął się o krok. Wtedy skinęła w końcu głową.

– Dacie mi pić? – zapytała.

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziała do nas po angielsku.

– A niech mnie! – krzyknął Matka. – Damy ci jeść. Wszyscy zjemy porządną kolację. Później przyjdzie czas na rozmowę. Pasuje, Hart?

– Pasuje. A teraz mów, u licha, jak się nazywasz – dodał, zwracając się do dziewczyny.



Posadziliśmy ją na koniu i w szybko zapadającym zmroku dostaliśmy się w okolice strumienia, przy którym zbierały się po zmierzchu spragnione mustangi. Tam nam powiedziała, że chciałyby się wykapać, że dzięki temu poczuje się lepiej, a my nie próbowaliśmy jej od tego odwodzić. Hart stwierdził tylko, że będzie jej towarzyszyć. Trzeba było napoić konie i napełnić manierki. Mnie pomysł Johna wydał się nieco niestosowny, ale ani ja, ani Matka nie wybiliśmy mu go z głowy. Nawet ona nie protestowała. Zdaje się, że nie ceniła sobie bardzo własnej prywatności.

Dzięki temu, że Matka przezornie zabrał czyste bandaże, zmiana opatrunków po kąpieli była formalnością.

Przyglądaliśmy się obaj, jak schodzą skarpą do strumienia, Hart prowadzący nasze konie, a Elena skradzionego deresza, po czym razem przetrząsnęliśmy liche krzewy w poszukiwaniu chrustu.

– Na czym polega jego problem? – zapytałem, gdyśmy kończyliśmy robotę.

– Czyj? Harta? Chodzi ci o jego stosunek do Meksykanów? – Potaknąłem.
– Cóż, zna ich dobrze. Większość z nich to wciąż półkrwi Indianie, rozumiesz. Takim musisz od razu pokazać, że masz *cojones*^[10]. Sprawić, by cię szanowali. W przeciwnym razie poderzną ci gardło przy pierwszej okazji, bo spodobały im się twoje lśniące buty. Chyba wiesz, że Hart był poganiaczem podczas kampanii generała Scotta w Puebli.

Przyznałem, że tego nie wiedziałem. W gruncie rzeczy zdziwiła mnie ta informacja, czemu od razu dałem wyraz – przecież sam służyłem pod generałem Scottem, czego nie kryłem ani przed Hartem, ani przed Matką. Dlaczego więc żaden nie raczył się ze mną podzielić wcześniej tą rewelacją?

– Do cholery, ja też służyłem pod generałem Scottem – oświadczył Matka. – I też nic ci o tym nie mówiłem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nigdy o to nie pytałeś, Bell. Ale to tam właśnie się poznaliśmy, Hart i ja. Latem czterdziestego siódmego roku, niedługo po tym, jak Santa Anna^[11] złożył nam dupę pod Cerro Gordo, tuż przed natarciem na Mexico City.

– Stacjonowaliście tam? W Puebli?

– Nie. Jeździliśmy z taborem. Ale co za różnica, to było istne piekło bez względu na to, gdzie kto służył.

– Wiem. Z jednej strony mieliście Santa Annę, który kręcił się po okolicy w poszukiwaniu rekrutów i gotówki, z drugiej naszych, siedzących na dupie, czekających na posiłki i zapełniających łóżka szpitalne. Całymi miesiącami traciliśmy parunastu ludzi dziennie tylko przez gorączkę i dyzenterię, a jedyne, co mogliśmy zrobić, to zawijać ich w obesrane

prześcieradła, na których zmarli, i wrzucać do przygotowanych zawczasu dołów. Ze Scotta był nie tyle geniusz militarny, ile kawał wrednego trepa. Sukinsyn nie przestał musztrować chłopaków, choć mieli cholerne szczęście, jeśli dostali połowę dziennej racji. Czekaając na przybycie dziewiątego regimentu Nowej Anglii, który jak mi się zdaje, miał uzupełnić nasze szeregi, dziesiątkował ludzi na placu defiladowym. Tępy skurwiel.

– I tak nie widziałeś najgorszego, Bell.

– Widziałem Mexico City.

– Straszna rzecz, przyznaję, ale partyzanci byli jeszcze gorsi. Jeździłem z taborem, jak już wspomniałem. Hart był poganiaczem. Naoglądaliśmy się tych sukinsynów, napatrzyliśmy się na to, co robili. Najpierw okradali cię ze wszystkiego, a potem zabijali, ot tak, dla przyjemności. Wycinali człowiekowi serce i język, wyrywali kutasy i wieszali potem na drzewach, pod którymi usadzili okaleczone zwłoki. Po mojemu chcieli nam napędzić stracha i powiem ci, to im się udało.

Zebraliśmy wystarczającą ilość uschniętego jałowca i innych krzewów, by móc rozpałić ognisko, zajęliśmy się więc szukaniem kamieni, którymi dałoby się je otoczyć.

– Chcesz posłuchać pewnej historii? O Harcie z tamtych czasów?

– Jasne.

John niezmiennie budził moją ciekawość. Był dla mnie zagadką. O Matce coś tam wiedziałem. Pochodził z Missouri, nigdy się nie ożenił, a jego ojciec był prezbiteriańskim kaznodzieją ze szkocko-irlandzkimi korzeniami – dawno już zapił się na śmierć. Jego siostra i dwaj bracia zostali na wschodzie. Hard zdradził tylko, że trochę podróżował. Właśnie dlatego cieszyłem się na każdą informację związaną z jego przeszłością.

– Wydarzyło się to kilka miesięcy przed naszym spotkaniem, a usłyszałem o tym, zanim nasze drogi się zeszły – zaczął opowieść Matka. – Hart gnał bydło przez jakiś parów kilka mil na północ od Puebli, mając też pod swoją pieczę wóz pełen solonej wołowiny i sucharów. Najął się do tej roboty za trzy dolary dziennie, całkiem nieźle, sam przyznasz? Szefem poganiaczy był Charles Berry, który zważ, sam opowiedział mi wszystko,

stąd wiem, że to nie żadna historia wyszana z palca, no więc w każdym razie ten facet, można powiedzieć, że przedsiębiorczej natury, pochodzący z Rhode Island, wykombinował sobie, jak się wzbogacić dzięki amerykańskiej kawalerii.

Przerwał na moment, by schylić się po upatrzony kamień.

– Prócz Harta było tam jeszcze dwóch innych poganiaczy i pięćdziesiąt krów. No więc patrzą, a tu do parowu wjeżdża Meksykaniec. Niski taki, odpicowany jak ta lala, buty z cholewami, srebrne ostrogi, wielkie białe sombrero, bryczesy z kozłej skóry, biała koszula, pas czerwonego materiału w talii, uzda i siodło zdobione srebrnymi ćwiekami. Podjeżdża do nich na tym swoim ślicznym kasztanowym ogierze, szczerząc zęby w uśmiechu, a Berry na jego widok myśli, że nie będzie z nim problemu, wygląda przecież jak typowy *el propietario*, posiadacz ziemski. Zatrzymuje więc wóz i wdaje się z tamtym w pogawędkę. Hart, który pilnował w tym czasie bydła i przyglądał się tylko z dystansu, w pewnej chwili zauważył, że Meksykaniec przestał się uśmiechać i wskazuje palcem w głąb parowu. Berry spojrział w tamtą stronę, a kiedy i Hart to zrobił, zobaczył siedmiu albo ośmiu ludzi, którzy mierzyli do nich z wojskowej, jak się zdawało, broni. Berry i Meksykaniec wymienili jeszcze kilka słów, ale już nie w tak miłej atmosferze, po czym szef poganiaczy zsiadł z kozła i odszedł na bok.

Matka odchrząknął i przytoczył słowa, które brzmiały mniej więcej tak:

– „Chłopcy, oni chcą zabrać cały towar i bydło, a ja nie wiem, jak moglibyśmy im w tym przeszkodzić. Dlatego teraz stąd odjedziemy, dzięki czemu zachowamy chociaż życie. Hart, ja pojedę z tobą”, dodał, po czym usiadł za Johnem i ruszyli przed siebie. Berry nie przejmował się rabunkiem, rad, że zdołał ocalić język i kutasa. Do zmierzchu zdołali się oddalić może na pół mili. Okolica tam była taka jak tutaj, po części goła preria, po części gęstsze zarośla i drzewa. W końcu trafili na wodę, napoili konie i rozbili obóz, by przeczekać noc, pewni, że dotrą do Puebli wczesnym popołudniem. Wtedy właśnie Hart wystąpił z propozycją. Wszystko sobie przemyślał i stwierdził, że jeśli Berry rozstanie się ze swoimi piętnastoma dolarami, które miał dostać za trzy dni pracy,

sprowadzi mu całe bydło, soloną wołowinę i suchary co do jednego. Wystarczy, że na niego zaczekają trzy, najwyżej cztery doby. Nie ruszając się z miejsca. „Czemu nie”, odparł Berry. No więc John pożyczył od innego poganiacza dwururkę, naładował ją loftkami, osiodłał konia i wrócił po własnych śladach.

Ułożyliśmy kamienie w szeroki krąg, potem Matka poprawił je wedle własnego uznania, po czym dopiero zaczął wewnątrz układać stosik chrustu i drew.

– Minęła północ, zanim znalazł, czego szukał. Meksykańcy rozbili obóz na przecince. Jako że Hart pędził to konkretne stado od przeszło dwóch tygodni, krowy go znały, przywykły do niego i na jego widok zareagowały spokojnie, jakby nigdy nic, dzięki czemu mógł wejść między nie i tam się przyczaić. Leżał pośrodku stada, gapiąc się w rozgwieżdżone niebo, z dwururką spoczywającą na piersi. Czekał, a krowy kłębiły się wokół niego. Wkrótce pojawił się pierwszy Meksykaniec, wlaźł niczego nieświadomy pod lufę i już było po nim. W stadzie zapanowało zdenerwowanie, i nie ma się co dziwić, sporo było uderzania racicami i parskania, bo wystrzałowi z dwururki towarzyszyła chmura gryzącego dymu i zapach utoczonej krwi. Hart czuł, że niewiele brakuje, by zwierzęta wpadły w popłoch i rzuciły się dzikim pędem do ucieczki, na razie jednak do niczego takiego nie doszło.

Matka sięgnął po zapalki, lecz zwlekał z ich użyciem.

– Niedługo później pojawił się przyciągnięty odgłosem wystrzału drugi Meksykaniec, przeklinający kompana za to, że okazał się na tyle głupi, by strzelać w samym w środku cennego stada, Hart wstał wtedy ponownie i wypalił z drugiej lufy, zdmuchując przeciwnika z siodła i samemu przemykając w krzaki po drugiej stronie obozowiska. Bo oczywiście zwierzęta wpadły w popłoch i mogły go stratować. A gdy Meksykańcy uganiaли się za swoimi końmi, próbując je siodłać, by ruszyć w pościg i zatrzymać rozszalałe stado, Hart rozwinął po prostu swój koc i położył się, żeby odpocząć. Następnej nocy wszystko się powtórzyło, tyle że drugi jeździec okazał się cwańszy, po tym jak załatwił pierwszego. Hart musiał

się za nim uganiać pośrodku stada spłoszonego strzelaniną drugą noc z rzędu, ale dopadł w końcu drania.

Robiąc przerwę tylko dla zaczerpnięcia oddechu, Matka kontynuował:

– Trzeciej nocy zdołał zastrzelić tylko pierwszego, ale to nic, bo z ośmiu zostało ledwie trzech ludzi, którzy kiepsko sobie radząc z zegnaniem stada do kupy, podupadli wyraźnie na duchu, dzięki czemu nazajutrz po południu John pomyślał, diabła tam, i kiedy tamci wciąż przemierzali równinę, dogonił ich, stanął z dubeltówką ułożoną w zagięciu ręki przed Meksykańcem jadącym na wozie i oznajmił mu, że nie kto inny załatwił jego ludzi, po czym dał mu wybór: albo oddadzą wóz i bydło, albo podzielą los kompanów.

Matka przerwał dla wzmocnienia efektu.

– Następnego dnia wrócił do obozu, w którym czekał na niego Berry, z całym stadem, nie licząc czterech krów, na co Berry musiał przyznać Meksykańcom, że choć pokurczowaci i wredni jak cholera, znają się na swojej robocie, skoro stracili tylko cztery sztuki bydła ze stada płoszonego noc w noc. Ale że Hart był już skonany, powiedział tylko, gdzie zostawił wóz, i Berry wysłał po niego swoich poganiaczy, którzy znaleźli go bez trudu, mimo że Meksykańcy mogli go przecież ukraść po raz drugi, co pewnie by zrobili, gdyby się nie bali, że Hart ich znów dopadnie.

Niezła historia, uznałem. Gdyby nie dotyczyła Harta, tylko jakiegoś innego, nieznanego mi człowieka, zaraz bym ją spisał, mając papier i pióro, wątpił jednak, by John chciał zostać bohaterem artykułu w nowojorskiej gazecie.

– *Niezła historia* – powtórzyłem głośno – ale nie wyjaśnia...

– Czego?

– Tego, dlaczego ją tak traktuje. Dlaczego tak traktuje Meksykanów.

– Zabili jego przyrodniego brata w Churubusco. Chłopak byłby mniej więcej w twoim wieku, gdyby wtedy przeżył.

Dostrzegłem Harta prowadzącego napojone konie. Był wśród nich deresz Eleny, ale jej samej nigdzie nie widziałem. John, jak to on, obracał

kostki w palcach.

– Nie znam nikogo, kto by tak bardzo lubił kości.

Matka się zaśmiała, przykładając zapalną do chrustu.

– Cholera, należały do jego żony. Była krupierką z saloonu w San Antonio, gdy się spotkali. Twarda sztuka z niej była, charakterna, można powiedzieć, do tego niebrzydka. Podobna do tej tutaj kobiety. Uciekła z takim jednym, który ogrywał wszystkich w blackjacka.

Ciekawe, pomyślałem. Z tej jednej rozmowy dowiedziałem się więcej o Harcie niż przez minione dwa miesiące.

Informacje o nim nagle płynęły do mnie szerokim strumieniem, zupełnie jakby Elena była swoistym katalizatorem, który to umożliwił. Elena i to, co tam sobie planowała.

– Nie sądziłem, że ma żonę – rzuciłem.

– Nie ma żony, synu. Już nie. Chyba że mówisz o mnie.

Przyglądałem się Johnowi, kiedy nas mijał, kiwając nam zdawkowo głową, zanim przywiązał do drzew cztery konie, i zastanawiałem się, czy z zapadłej między nami ciszy wywnioskował, że rozmowa zeszła na jego temat, i czy sprawia mu to jakąś różnicę. Sięgałem właśnie za plecy, żeby wyjąć ze stosiku jedno z drzew, gdy Hart do nas podszedł.

– Zostaw – powiedział.

– Co?

– Lepiej się odsuń.

Wstałem i zrobiłem, co kazał, a wtedy on kopnął stosik, prowokując ukrytego tam grzechotnika. Usłyszałem gada na moment przed tym, zanim zwinął się w zabójczą spiralę. Gapił się swoimi wężowymi ślepiami nie na niego, stojącego dalej, tylko na mnie, i pewnie dlatego nie uniknął buta, który wylądował mu prosto na łbie.

– Jezu Chryste, Hart!

– Widziałem, jak tam wpełza. Powinieneś być ostrożniejszy, Bell.

– Rozdeptałeś go, człowieku. One są jadowite, na litość boską.

– Jeśli zdążysz je rozdeptać pierwszy, to cię nie ukąszą.

Przed chwilą znajdowałem się w zasięgu grzechotnika. Byłem do głębi wstrząśnięty. Wprawdzie ukąszenie węża rzadko bywa śmiertelne, zwłaszcza gdy ktoś szybko udzieli ci pomocy, ale nigdy nie wiadomo, na ile ci się poszczęści, lepiej więc nie ryzykować.

– U licha, Hart. Życie ci niemiłe?

– Na tyle miłe, na ile było temu wężowi. Ale też nie jakoś specjalnie niemiłe.

Odwróciłem się w samą porę, by zobaczyć Elenę wyłaniającą się zza skarpy. Ubranie i włosy miała mokre, ale wyglądała świeżo, młodziej i piękniej. Matka się uśmiechnęła.

– Podaj mi tego grzechotnika, Bell – powiedział. – Pan Hart właśnie uzupełnił nasze zapasy. Pora na kolację.



Wąż smakował wybornie, upieczony nad ogniem i podany z fasolą, peklowaną wołowiną i sucharami. Podczas jedzenia Elena nabrała rumieńców, zadziwiając mnie swoją zdolnością regeneracji. Jej długie włosy lśniły w blasku płomieni. Wytarłem talerz ostatnim kawałkiem chleba, potem zebrałem resztę naczyń, by umyć je w strumieniu. Hart powstrzymał mnie jednak.

– Czas porozmawiać – oświadczył.

Rzucił spojrzenie w kierunku Eleny, usiadłem więc z powrotem i czekałem. John odkorkował stojącą obok niego butelkę whiskey, z której napiliśmy się kolejno. Tylko dziewczyna odmówiła poczęstunku.

Upiła za to łyk wody z manierki i zaczęła opowiadać.



Doskonale wiedziałem, że zaraz po wojnie amerykańsko-meksykańskiej tereny przygraniczne zostały skolonizowane przez setki białych osadników, których przyciągała tam żyzna ziemia, niskie koszty życia i możliwość pławienia się w chwale zdobywców. Wiedziałem również, że

zwycięzcy raczej nie patyczkują się ze zwyciężonymi. Zwłaszcza tacy jak żołnierze, którzy brali udział w kampanii generała Scotta.

Większość regularnej armii walczyła w niedalekiej przeszłości z różnymi plemionami indiańskimi, przez co przeciętny żołdak widział w Meksykanach w najlepszym razie mieszaińców, w najgorszym zaś – Apaczów. Nie można powiedzieć, by brutalność w czasie wojny była domeną Amerykanów – gwałty zdarzały się po obu stronach, i to zdecydowanie częściej, niż powinny, a niektórzy mężczyźni, w gruncie rzeczy bardzo wielu mężczyzn zasmakowało w okrucieństwach, robiąc, co tylko im przyszło do głowy z kobietami, które wiedziały, że jeśli chcą przeżyć, nie mogą się sprzeciwić woli najeźdźców.

Takie podejście armia zabrała ze sobą do Meksyku.

Żołd dawał pewność siebie.

Żołd umożliwiał spełnianie zachcianek.

Szybko powstał rynek zaspokajający potrzeby amerykańskich żołnierzy, markietanki pleniły się jak chwasty na cmentarzu, a siostry Valenzura były jednymi z tych, którzy ten rynek zasilali.

Elena i Celina wraz z młodą kobietą, której imienia nigdy nie poznały, próbowały uniknąć swojego losu.

Elena przecięła ich więzy tępym kuchennym nożem, który kryła w fałdach sukni i ostrzyła długo nocami, gdy wszyscy spali, co też wykorzystując zbiegły z terenu hacjendy aż pod wzgórze Garganta del diablo, jak o nim mówiła, gdzie przyczaiły się w zaroślach, czekając na zapadnięcie zmroku, by móc uciec. Zdołały dotrzeć do rzeki.

– Odciągnęłam jednego z nich od tej białej dziewczyny i roztrzaskałam mu głowę kamieniem znalezionym na brzegu, ale zdążył ją ciąć nożem, tak samo jak mnie. Pozostali uznali za zabawne, że próbujemy uciekać. Wzięli to za dobry żart. Dlatego zabawiali się z nami nożami. Nie sądzę, by chcieli nas zabić, byliśmy własnością sióstr Valenzura, ale byli spici, a wokół panowały ciemności. Celinę widziałam ostatni raz, gdy wlekli ją z powrotem na drugi brzeg rzeki. Nie mogłam po nią wrócić bez broni, ale teraz to zrobię. Jeśli nie dacie mi konia i karabinu, ukradnę je komuś

innemu, pojedę tam i będę ich zabijać, dopóki sama nie zginę albo nie uwolnię siostry.

Żaden z nas nie skomentował tych słów.

Puściliśmy znów butelkę w obieg i przez dłuższą chwilę tylko się namyślaliśmy.

– Tak z czystej ciekawości, panienko – odezwał się w końcu Hart. – Przeciw ilu mężczyznom zamierzasz stanąć?

– Dwunastu, góra piętnastu, nie licząc sióstr Valenzura. I potencjalnych kupców, o ile tam będą. A mogą być. W noc poprzedzającą ucieczkę zaczęli nas doprowadzać do porządku. W takim przypadku będzie ich tam więcej, ilu jednak dokładnie, tego nie umiem powiedzieć.

– Wartownicy?

– Tylko jeden. Haczendę zbudowano w kanionie. Od północy, południa i zachodu otaczają ją zbocza. Dlatego uznali, że wystarczy jeden wartownik na wschodzie, a do tego po czujce na każdym wzniesieniu. Założę się, że temu, który pełnił straż przedwczoraj, nadal pęka głowa.

– Kupcy, powiadasz? – zapytał Matka. – Jacy kupcy?

– Głównie właściciele burdeli. Ale też zwykli klienci, którzy są jeszcze gorsi. Kupcy mnie nie obchodzą. I tak najpierw zabiję Paddy'ego Ryana.

– Nie pierwszy raz wspominasz tego dżentelmena. Czy to przypadkiem nie ten wredny skurwiel z literą D wypaloną na policzku?

Potaknęła. Wtedy Matka spojrzał na mnie.

– Jedyne człowiek na tym pieprzonym pustkowiu, który jest grubszy i paskudniejszy ode mnie. U licha, chyba kiedyś o nim pisałeś, Bell, tylko nie pamiętasz. Ryan był w Churubusco, to jeden z tych świętoszkowatych skurwieli z batalionu San Patricio, który przeszedł na stronę Meksykanów, a składał się z samych irlandzkich katolików. Niewiele brakowało, a ci dranie powtrzymałoby marsz generała Scotta. Przeżyło ich tylko siedmiu, w tym Ryan. To D na jego twarzy oznacza dezertera, nie inaczej.

– Chyba go sobie przypominam. No tak. To ten, przeciw któremu nikt nie chciał zeznawać na sądzie polowym...

– A ty byś zeznawał? Skąd miałbyś pewność, że go powieszą?

Nie zapomniałem też o tym, że Hart stracił przyrodniego brata pod Churubusco. Jak powiedział Matka, naprawdę niewiele brakowało, by dezercerzy odmienili losy wojny podczas tej bitwy. Interesowało mnie, jak John się z tym czuje, minę jednak miał nieprzeniknioną.

– Zatem Ryan bawi się teraz w alfonsa – mruknął tylko. – W końcu odkrył swoje powołanie. Ciekawe, czy odnalazł też Boga.

– On wielbi wielu bogów – wtrąciła Elena. – Nie tylko mamonę.

– Jak to?

– Siostry Valenzura... są wyznawczyniami Starych Bogów. Ryan także, na swój sposób.

– Starzy Bogowie? A któż to taki?

– Dawne bóstwa Meksyku. Pierzasty Wąż Quetzalcoatl. Tezcatlipoca, pan księżycy i nocy. Pan słońca Huitzilopochtli. Pani ziemi Tlazolteotl. Xipe, odarty ze skóry. Starzy Bogowie uczą posłuszeństwa. Uczą poddania się prawom ziemi i nieba. Krew za łupy, krew za deszcz. Kiedyś uciskała nas ta ziemia. Teraz uciskają nas mężczyźni. Na jedno wychodzi. Większość moich pobratymców uważa, że Starzy Bogowie nigdy nie umarli. Bo i dlaczego?

W brzmieniu wymienianych przez nią imion rozpoznałem język, którego używała minionej nocy przy palenisku – i na jego dźwięk znów poczułem ciarki. Opowiedziała nam jeszcze o swoim ojcu, prostym farmerze. Ale ja się zastanawiałem, kim była jej matka i jakąż to straszliwą wiedzę wpoila swojej córce.

– Usłyszeliście ode mnie o Ryaniu i noworodku na szczycie Garganta del diablo, ale to nie wszystko. Jest jeszcze coś.

– Co na przykład? – zapytał Hart.

– Widziałam, jaką śmiercią skona moja siostra, jeśli będzie się im opierać. Jaką śmiercią kona być może w tej właśnie chwili. Bo oni się nie śpieszą. Nigdy.

Czekaliśmy, aż powie coś więcej, lecz ona milczała.

– Dacie mi konia i karabin? – przerwała w końcu ciszę.

Wymieniliśmy spojrzenia nad ogniskiem.

– Matka? – rzucił Hart. – To twoja chabeta.

– I twoja broń – odparł wielkolud.

Skinęli zgodnie, po czym dali jej flaszkę. Tym razem nie odmówiła.



O świcie przyglądaliśmy się, jak siodła konia i odjeżdża. Nie spuszczaaliśmy z niej wzroku, dopóki nie zamieniła się w drobniutki punkt na kompletnie pustym horyzoncie.

– Jesteś pewien, że nikogo ci nie przypomina? – zapytał Matka.

Hart obracał chwilę kostkami, potem odwrócił się i wylał resztkę kawy w płomienie.

– A niech cię wszyscy diabli!



DZIEWIĘĆ

Dogoniliśmy ją, zanim dotarła na szczyt wzniesienia, z którego rozciągała się panorama rzeki Kolorado.

Nie dała po sobie poznać, czy ucieszył ją nasz widok.



Przeprawiliśmy się na drugą stronę.

Mieliśmy szczęście, że ostatnimi czasy nie padało, dzięki czemu nurt nie był zbyt wartki, ale Suzie i pozostałe wierzchowce i tak musiały przepłynąć środkowy odcinek koryta, bo z trudem dotykały kopytami dna. Na przeciwległym brzegu zsiadliśmy, rozpięliśmy popręgi i zdjęliśmy siodła, aby zwierzęta mogły odpocząć po tak wielkim wysiłku, ja zaś wyjąłem z juków flaszkę i puściłem ją w koło, po czym jakiś czas później ruszyliśmy dalej.

Po południu ujrzelśmy przed sobą rzadko porośniętą dolinę, niedającą wielkiej osłony, widoczną z niskiego płaskiego wzgórza, na którym Elena się zatrzymała, by wskazać na południowy zachód.

– Jakieś pół mili stąd – powiedziała.

– Świetnie – uznał Hart. – Zjedźmy na dół i poczekajmy, aż się ściemni.
Zaczęliśmy ostrożnie zjeżdżać ze wzgórza rozciągniętym szykiem.

– Wiesz, gdzie ją trzymają? – zapytał John.

– Celinę? Może być wszędzie. Ma to jakieś znaczenie?

– Ma, jeśli nie chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli.

Zastanowiła się nad jego słowami, ale ostatecznie skwitowała je wzruszeniem ramion.

– Droga wolna. Znajdę ją sama.

Hart pokręcił głową. Odwróciła się twarzą do niego i przez moment obserwowała go bacznie.

– Nie dogadujemy się za dobrze, panie Hart. Jak pan sądzi, dlaczego tak jest?

– Szanuję to, co chce panienka tutaj zrobić. Chodzi o rodzinę i ja to rozumiem. Tyle że zabiera się panienka do tego bardzo nieporadnie.

– To ma być odpowiedź?

– Będzie musiała panience wystarczyć. Nic więcej o mnie i mojej tu obecności nie potrzebuje panienka wiedzieć.

– Jakoś mi się nie wydaje.

– Ujmę to tak. Ostatnimi laty, do całkiem niedawna, poświęcałem wiele myśli i czasu, kombinując, jak by tu was pozabijać, zanim wy zabijecie mnie. Trochę mi to zajęło, ale w końcu nabrałem wprawy i stałem się w tym naprawdę dobry. To, że kilku starców podpisało świstek stwierdzający, że mamy pokój, nie oznacza, że nagle czuję się bezpiecznie w panienki towarzystwie.

– Mówi pan do kobiety, panie Hart.

– Jestem tego w pełni świadom.

– Chodzi panu o to, że widział mnie pan naga.

– Nie przeczę.

– I co takiego pan zobaczył?

– Nic, czego bym już wcześniej nie widział, a także nic szczególnie przykrego dla oczu.

– Zobaczył pan Meksykankę, półkrwi Indiankę. Zobaczył pan wroga, tak?

– Możliwe.

– Oczywiście, że tak. Zobaczył pan kogoś, kto różni się od pana. Kto nawet nie modli się do waszego chrześcijańskiego Boga.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Z tego akurat nie zamierzam czynić panience zarzutu.

– Nie rozpętałam tej wojny.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej.

– Matka powiedział, że stracił pan brata.

– Doprawdy? – Posłał wielkoludowi spojrzenie zdolne spopielić kaktusa. Ten to zauważył i nagle poczuł przemożną potrzebę, by zacząć obserwować niebo. – Owszem, straciłem przyrodniego brata.

– Proszę zapytać, kogo ja straciłam, panie Hart.

– Zgoda. Kogóż to panienska straciła?

Nie spodobał się jej ten ton. Trudno było ją o to winić.

– Idź pan do diabła – rzuciła. – To nie pański zasrany interes.

Docieraliśmy na dno doliny, znajdując schronienie w kępie jałowców, gdy jak się domyśliłem, Elena zmieniła jednak zdanie.

– Straciłam matkę – oświadczyła. – Zwykłą Meksykankę w pańskich oczach. Ale wie pan co, panie Hart? Dziecko, które nosiła w łonie, też zmarło bo jedyny lekarz w promieniu pięciu mil był zbyt zajęty opatrywaniem rannych białych *cabrones*^[12], takich jak pan i Paddy Ryan. Zabijał pan kobiety. Wszyscy zabijaliście. Każdy z was.



DZIESIĘĆ

Uwiązaliśmy konie w zagajniku i ruszyliśmy pieszo przez zarośla, ostatnie kilka jardów szorując brzuchami po ziemi, aż doczołgaliśmy się do miejsca oddalonego o jakieś pięćdziesiąt kroków od hacjendy i dziesięć od samotnego wartownika, który siedział przy dogasającym stosiku chrustu i patyków, ogryzając połówkę pieczonego zająca, i nie zwracał najmniejszej uwagi na karabin leżący opodal w pyle.

Obraz, który się za nim wylaniał wśród migotliwego blasku czterech wielkich ognisk, mógłby pochodzić prosto z „Piekła” Dantego – książki, której nie lubiłem za młodu – gdyby jej autor nie był tak pobożnym człowiekiem.

– Przybyliśmy w samą porę – mruknął Matka.

Przed nami na całego odchodził handel.

Widziałem ze trzydzieści młodych kobiet, zgromadzonych jak do inspekcji – siostry Valenzura wystawiły swój towar na pokaz. Niektóre po prostu stały, przykute jedna do drugiej, inne uwiązano do pali albo kół wozów, a wszystkie odziane w przeróżne szmaty: tanie halki, męskie koszule i spodnie, brudne sukienki, podartą bieliznę, a nawet trudne do

rozpoznania łachmany, które ledwie zakrywały to i owo, wśród tej kolekcji znalazła się też jedna upaprana czymś i obszarpana suknia ślubna. Widziałem odurzone, pobite, na wpół oszalałe twarze, wyszorowane dopiero co na potrzeby przeglądu. Widziałem kupców i ich pomocników, Meksykanów i białych, z czego ci byli wytwornie odziani, tamci obdarci, ale wszyscy pocili się niemiłosiernie w żarze bijącym od płomieni i kręcący się pośród towaru, a to rozchylali na kobietach odzienie, a to chwyтали je za obnażone piersi i pośladki, a to wkładali im dłonie między nogi, zagląдали w zęby i sprawdzali stan dziąseł, śmiejąc się przy tym i rozmawiając swobodnie.

Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem broń palną.

Nie mieliśmy stawić czoła kilkunastu mężczyznom i trzem kobietom. Tych ostatnich, niebiorących udziału w pokazie, wypatrzyłem tylko dwie – sądząc z opisu Eleny, były to młodsze siostry Valenzura, Maria i Lucia – które krążyły pomiędzy kupcami niczym ranczerzy na aukcji bydła, dobijając targu.

Za to mężczyzn było ze trzydziestu.

– Jak dobre mają wyposażenie? – zainteresował się Hart.

– Wyposażenie?

– Pistolety, karabiny. Jak sprawna jest ich broń?

– Wygląda na niezłą.

– Zaczekajcie tutaj. To potrwa tylko chwilę.

Odwrócił się i odczołgał w kierunku, z którego przyszliśmy, a żadne z nas nie pomyślało, by go zapytać, co robi, leżeliśmy tam po prostu dalej, przyglądając się tłumowi i wsłuchując się w trzaskanie ognia.

– Na co im tyle ognisk, do cholery? – zapytał nagle Matka. – Palą je każdej nocy?

– Każdej. Aby odegnać mrok. Aby odegnać gęstwę i żyjące w niej stworzenia.

Wielkolud spojrział na nią tak, jakby postradała zmysły, a ja – jak sędzę – uczyniłem to samo.

Wokół nas rozciągała się goła, pokryta jedynie pyłem równina.

– Dawno temu rosła tu gęsta dżungla. Wiele, wiele lat temu. Siostry Valenzura nadal ją widzą.

Pozostawiła nas z tym obrazem przed oczyma, który rozważaliśmy, leżąc tam i obserwując czujnie otoczenie, dopóki nie usłyszeliśmy za plecami szelestu; obróciliśmy się szybko, ale to był tylko Hart czołgający się z derką przewieszoną przez ramię.

– Zaczekajcie tutaj – powiedział. – To potrwa tylko chwilę.

– Już to mówiłeś – zauważył wielkolud.

– Patrz i się ucz, Matka.

John zdjął kapelusz, zagiął krawędzie runda w dół, potem znów go założył na głowę i owinął się derką, jakby to było *serape*, po czym wstał, wyprostował się na całą swoją wysokość i powoli ruszył naprzód, jakby jego obecność tutaj była najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. Usłyszeliśmy klikanie kostek w jego dłoni, podobnie jak wartownik, który odłożył na pieńek niedojedzoną połówkę zająca, wytarł o koszulę zatłuszczone paluchy i podnosząc się, sięgnął po broń.

– *Quién es?*^[13] – zapytał.

– *Qué mosca te ha picado?*^[14]

– Eee?

Hart przemawiał głosem znudzonym i ospałym w równym stopniu jak wartownik tonem nerwowym i zmieszonym. Nagle wszystko stało się dla tego drugiego jasne, gdy przybysz wymierzył mu między nogi tak mocnego kopniaka, że strzelba wypadła mu z rąk, z ust zaś dobył się chrapliwy jęk, który John szybko zdusił dłonią, po czym zmusił przeciwnika do uklęknienia i sięgnąwszy po upuszczony karabin, przywalił mu z całych sił w łeb kolbą.

Przyciągnął go później za jedną rękę do miejsca, w którym leżeliśmy, oddał strzelbę Matce, a koc rzucił mnie, na koniec zaś odwrócił nieprzytomnego wartownika na plecy, by wyjąć rewolwer z jego kabury.

– Colt, kaliber .45. Panienska miała rację. Niezły sprzęt.

Wyjął własny antyczny rewolwer i opróżnił wszystkie komory bębena.

– Spróbowałbym odsprzedać ten złom Gusdorfowi, ale wątpię, żeby chciał za niego zapłacić choć złamanego centa. Powinienem być pogrzebać go razem z jego dziadkiem.

Cisnął starą spluwę w krzaki i włożył do kabury nową.

– Lepiej się teraz czujesz? – zapytał go Matka.

– O wiele lepiej.

– Miło to słyszeć. Co z nim?

– Trochę jeszcze sobie pośpi.

– Wcale nie – stwierdziła Elena.

Wyjęła nóż z za pasa wartownika, wysunęła ostrze z pochwy, i zanim zdążyliśmy się zorientować, co zamierza, chwyciła draba za włosy, uniosła jego głowę i poderżnęła mu gardło z taką łatwością, jakby to była bita świnia, po czym zwróciła szybko głowę w bok, by krew tryskająca z tętnicy rosła ziemię, nie nas.

– Teraz i ja czuję się lepiej – wyznała.

Patrzyła nam przy tym wyzywająco w oczy, jakby tylko czekając na naszą reakcję, lecz żaden z nas się nie odezwał. Pomijając osobiste powody, które nią kierowały, a niewątpliwie były to bardzo dobre powody, trzeba było przyznać, że za jej czynem przemawiała logika. Jedna karta w talii mniej. Jeden mniej powód do oglądania się przez ramię.

– Widziałaś gdzieś swoją siostrę? – zapytał Hart, pokazując przed siebie.

– Tak. Jest w ostatniej grupie, tej najbliższej hacjendy. Celina to ta ubrana na biał.

– Widzę ją.

Ja też ją teraz spostrzegłem. Ładna dziewczyna, na oko piętnasto-, góra szesnastoletnia, w postrzępionej krótkiej halczce na ramiączkach. Z tej odległości nie widziałem wyraźnie jej twarzy i choć bardzo się starałem, nie mogłem stwierdzić, czy się trzyma czy jest przerażona, a bardzo chciałem ustalić, z czego została ulepiona druga połowa tej rodziny.

– Hart, masz może pomysł, jak się do tego zabierzemy? – zapytał wielkolud. – Bo raczej nie wejdziemy tam przecież, kopiąc wszystkich po kolei w klejnoty, jakkolwiek eleganckie jest to rozwiązanie.

– Dzięki, Matka. Nasunęła mi się właśnie pewna myśl...

Nie dowiedzieliśmy się niestety, co to była za myśl, ponieważ w tym właśnie momencie tłum niespodziewanie zamilkł i zobaczyliśmy, że drzwi hacjendy stają otworem i wychodzi przez nie – nie, nie wychodzi, tylko szybuje jakaś meksykańska wiedźma, z tych, co latają na miotle, a już na pewno najstarsza kobieta, jaką zdarzyło mi się widzieć poza łóżem śmierci, szczerząca się dziko hetera z szopą zmierzwionych kudłów, odziana w prześwitującą biel, z obwisłymi piersiami dyndającymi jej luźno pod szatą, z wyblakłą czaszką na głowie i twarzą wymalowaną w czarne pasy i kręgi na podkładzie koloru wyschniętej gliny.

Ewa.

Przed sobą w obu dłoniach dzierżyła długi czarny nóż, rękojeścią wymierzony w ziemię, czubkiem zaś ku niebu.

Sądząc po jego rozmiarach, nie miała prawa go choćby unieść.

Twarz idącego za nią mężczyzny także zdobił malunek, wyobrażenie czarno-białej, rzucającej refleksy w blasku płomieni trupiej czaszki na jego własnym obliczu. Masywne ręce i tors miał obnażone. W talii był owinięty pasem z kości wyglądających na ludzkie. Ramienna, promieniowa, łokciowa... Z szyi zwisały kły albo pazury, a może jedno i drugie. Nie widziałem na tyle dobrze, by móc to stwierdzić na pewno.

W prawej dłoni trzymał grubą skórzaną smycz, na której prowadził dziewczynę mogącą być bliźniaczką Celiny, gdyby nie wielkie sine znamię na jej karku. Nieszczęśnica, która miała na sobie białą, czystą, chyba nową suknię, jakby chciano tym podkreślić, że jest dziewicą, szła za mocarzem chwiejnie, wyraźnie odurzona, jakby uraczono ją jakimś środkiem – czy to pulque, mescalem czy znanym tylko siostrom Valenzura równie silnym specyfikiem.

– Ryan – szepnęła Elena.

– Jezusie, Panie nasz – sapnął Matka. – Ryan we własnej osobie. Sam bym go nie poznał.

– Ja bym poznał – zapewnił Hart.

Przez chwilę słyszeliśmy wyłącznie trzask płomieni. Potem siostry Valenzura zaintonowały pieśń. Takie same kliknięcia i syki, jakie wydawała Elena, tyle że dużo bardziej przenikliwe tym razem. Przywodziły na myśl chór cykad w mroku spokojnej nocy.

– *Ich nahuatl* – powiedziała. – Ich modlitwa. Dziewczyna? Ostatnio, gdy ją widziałam, była przywiązana do stołu i wrzeszczała. Ale chyba jest już ponad wrzaski.

– Czy to jest to, co myślę?

– Tak. Demonstracja posłuszeństwa. Wobec sióstr Valenzura, wobec Starych Bogów i dawnych obyczajów. Aby pokazać kupcom, co dokładnie nabywają i jaki los ich spotka, jeśli okażą się na tyle głupi, by zdradzić.

– Dlaczego akurat ta dziewczyna?

– Nie wiem. Pewnie sprawiała problemy. Może okazała się zbyt dzielna. Albo ma dla nich zbyt małą wartość ze względu na znanie.

Pozostałe dwie siostry, Maria i płaskogęba Lucia, przyłączyły się do tego makabrycznego pochodu i z zawrotem ruszyły za Ryanem i Ewą, którzy minawszy kupców i strażników, zaczęli wspinać się na wzgórze spowite całunem smolistego dymu i rozjaśnianego żarem blasku. W tym momencie nawet najwięksi prostacy, których nie brakowało w tłumie, stali poważni i cisi. Po dotarciu na szczyt Ryan obrócił dziewczynę, by stanęła twarzą do zebranych, rozpiął przód jej sukni i rozciągnął poły na boki, Ewa zaś wręczyła ofierze długie obsydianowe ostrze i zawołała:

– Dla Tezcatlipoki!

Dziewczyna się zawahała, spoglądając w niemym przerażeniu na trzymany w dłoniach nóż, ale Ryan podszedł do niej i szepnął jej coś do ucha – po dziś dzień nie umiem sobie wyobrazić, co takiego powiedział, że w jednej chwili stała się znów potulna i apatyczna, jakby to nie jej

dotyczyło, po czym uniosła ostrze, skierowała je ku sobie i po sekundzie bezruchu mocnym pchnięciem wbiła w swój brzuch. Z szoku i bólu rozwarła szeroko oczy, palce z konwulsyjnym drżeniem zsunęły się z rękojeści, którą błyskawicznie pochwyciła Ewa, przy czym postronki jej mięśni poruszały się pod obwisłą skórą niczym pełzające węże, gdy rozcinała ciało aż do mostka, a następnie wyszarpnęła połyskujący nóż z rany.

Dziewczyna się zachwiała, brocząc krwią, a z jej rozprutego brzucha zaczęły wypadać blade, upstrzone czerwienią wnętrzności. Ryan złapał ją za ramiona, zanim upadła.

– Dokończ to! – krzyknął. – Dokończ albo oddam cię znów w ich ręce. Postaram się, żebyś wróciła tam żywa!

Na naszych oczach dziewczyna zamrugła szaleńczo, a jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, jakby uderzył w nią nagły chłód – przyglądaliśmy się temu w skrajnym osłupieniu wszyscy z wyjątkiem Eleny, która jak podejrzewałem, od początku wiedziała, czym to się skończy, tymczasem ofiara zanurzyła dłoń w ranie zadanej jej przez Ewę i wyrwała sobie z piersi bijące jeszcze, ciepłe serce. Stara jędrza rzuciła się na nie jak polujący sokół na mysz, przecięła tętnice jednym szybkim ruchem ostrza i uniosła zdobycz wysoko, wołając raz po raz: „Tezcatlipoca!”, podczas gdy Ryan już puszczał ramiona dziewczyny, która padła na kolana w tej samej chwili, kiedy się okręciłem na pięcie i zwróciłem na krzaki całą wypitą kawę i nie do końca strawione suchary.

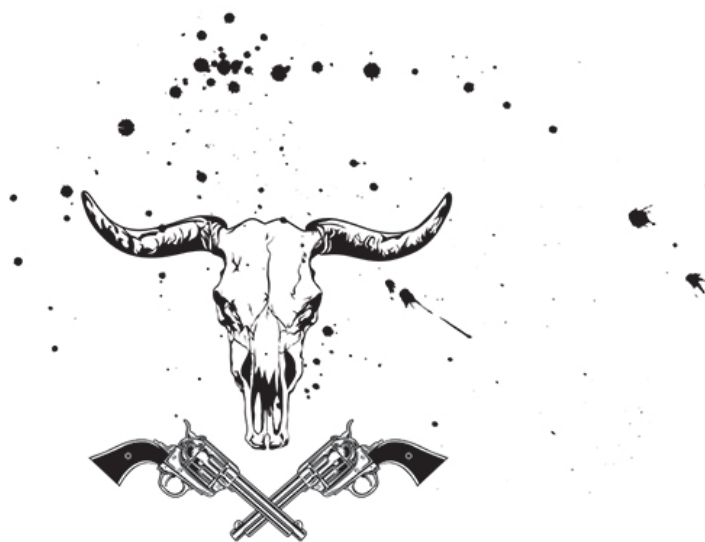
– Moment dobry jak każdy inny – skwitował Hart. – Prawda, Matka?

Wielkolud potaknął.

– Idziemy, Bell.

Musiał mnie pociągnąć za kołnierz, bo nogi miałem jak z waty, ale już wkrótce przemykaliśmy skrajem diabelnego terenu. Obejrzawszy się za siebie, dostrzegłem, że Ryan niesie martwą dziewczynę w stronę płonącej jamy, całe spodnie i obnażone ciało miał zbrukane jej krwią. Zobaczyłem jeszcze, że unosi ją nad głowę, jakby ważyła tyle co zwykły kundel,

a starucha imieniem Ewa układa serce na ołtarzu obok nich. Później już tylko biegłem.



JEDENAŚCIE

Kierowaliśmy się prosto ku otwartym na oścież drzwiom hacjendy. Nie wiedziałem, dlaczego to robimy ani czyj to jest pomysł, Harta czy może Eleny, niewykluczone, że oboje wpadli na to samo jednocześnie, jakby czytali sobie w myślach, w każdym razie to ona wiedziała, że wszyscy wylegli na zewnątrz, by obejrzeć spektakl odgrywany na szczycie wzgórza, co oznaczało, że dom stoi kompletnie pusty.

Wspięliśmy się po stopniach na werandę i wbiegliśmy do środka krótkim korytarzem, za którym ledwie miałem czas zarejestrować ogromną elegancką, skąpaną w blasku świec salę, jaka się przed nami otworzyła, ponieważ Elena od razu poprowadziła nas na drugi kraniec pomieszczenia, gdzie wskazała klatkę schodową.

– Idziemy na górę.

– Dlaczego? – zapytał Hart.

– Siostry Valenzura mają tam sypialnię. Targu będą dobijać tutaj, na dole. Stamtąd usłyszymy, kiedy zaczną.

Dostaliśmy się schodami na wyższą kondygnację, po czym przemierzaliśmy długi szeroki korytarz wyścielany chodnikiem

czerwonym jak krew i oświetlony kagankami oliwnymi w kinkietach, minęliśmy drzwi po lewej i zatrzymaliśmy przy następnych, dla odmiany znajdujących się po prawej, które Elena otworzyła, abyśmy mogli wejść do środka.

Pokój był wielki jak cała chata Matki. Na stoliku nocnym obok pięknego, zasłanego koronkową narzutą mahoniowego łoża z baldachimem paliła się pojedyncza lampa. Wezgielnie ozdobiła rzeźba przedstawiająca owieczkę rozrywaną i pożeraną przez stado wilków. Wilcze motywy miały także gałki wieńczące narożne słupki łoża oraz wahadłowe lustro stojące na toaletce. Szybko zrozumiałem szybko, dlaczego dziewczyna wybrała tę sypialnię zamiast pokoju po lewej: okna wychodziły na dziedziniec, dzięki czemu można było obserwować, co się dzieje na dole.

Gdyby się chciało to robić.

– To pokój Marii – wyjaśniła.

W tym momencie Hart się zaofiarował:

– Przypilnuję drzwi.

Naprzeciwko nich znajdowało się okno, pod które Elena przyciągnęła orzechowe krzesło z oparciem wyściełanym aksamitem, by usiąść na nim z winchesterem Johna złożonym na kolanach.

Matka padł na łożo. Zajęczało pod jego ciężarem.

Nie wierzyłem własnym oczom. Gapiłem się więc tylko na niego.

– Przypuszczam, że to trochę potrwa. Mam rację, panienko?

– Tak – odparła chłodnym beznamiętnym tonem.

– Odpoczywaj, kiedy i gdzie się da, Bell.

W jego słowach kryła się jakaś mądrość. Nagle poczułem się wyczerpany – jak widać, odbiło się na mnie wszystko to, czego dokonaliśmy i co ujrzeliśmy w ciągu dnia. Przysiadłem więc w nogach łoża obok wielkoluda.

– Zabiłbym za szklaneczkę whiskey – wyznałem.

– Jest w kredensie – powiedziała Elena. – Pij, jeśli jesteś na tyle głupi.

Pamiętam, że to rozważałem. Naprawdę. Bardzo mnie kusilo.

Ostatecznie przyciągnąłem pod okno drugie krzesło i zająłem miejsce naprzeciwko dziewczyny.

– Nie martwi cię, że mogą nas zauważyć? – zapytałem.

– Nie zauważą. Spójrz tam.

I znów przyszła mi na myśl książka, której nigdy specjalnie nie cenilem. Pierwszą było „Piekło”, ale tym razem chodziło o „Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego” Gibbona.

Patrzyłem na orgię.

W blasku księżycy wszędzie kopulowały pary. Kobiety leżały rozciągnięte na gołej czerwonej ziemi albo klęczały na czworakach, gdy brano je od tyłu, na sposób bardziej i mniej tradycyjny, a także zmuszano do ujmowania członka w usta. W kilku przypadkach chodziło o obie te rzeczy naraz. Kobiety były szarpane, policzkowane, bite i smagane. A pomiędzy tym wszystkim przechadzały się siostry Valenzura ze strażnikami, potęgując szaleństwo whiskey, mescalera i tequilą.

Cieszyło mnie, że okno jest zamknięte i nie musimy tego słuchać.

Na majaczących w mroku twarzach nie było widać cienia radości ani podniecenia. Dotyczyło to zarówno katów, jak i ofiar.

Wzrok odwróciłem dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, co robią z Celiną.

† †

– Ty, gryzipiórek – poprosiła mnie Elena minionej nocy. – Pisz. Niech to znajdą przy naszych ciałach.

† †

Wolałbym tego nie opowiadać, ale uważam, że jestem to winien każdemu, kto ucierpiał. Sądzę też, że wszyscy powinni o tym usłyszeć.

† †

– Ta tłusta świnia nazywa się Fredo – powiedziała. – A ten tyczkowaty to Gustavo. Trzeciego nie znam. Pewnie kupiec. Nie chcesz być świadkiem tego wszystkiego, gryzipiórku? Trudno.

Ale chciała, żebym patrzył. Słyszałem to w jej głosie. Widziałem to w jej oczach, nabrzmiąłych łzami, lecz otwartych szeroko, bez jednego mrugnięcia. Dostrzegłszy w nich żal i furję, odwróciłem głowę ponownie.

Skoro ona może, to ja też.

Nie rozpoznałbym Celiny, gdyby nie zadarta niemal po piersi biała halka – choć była dokładnie pod nami, twarz miała zasłoniętą.

Leżała na plecach z rozłożonymi szeroko rękoma i nogami, naga, jeśli nie liczyć zadartej halki, a ten, którego Elena nazywała Fredo, klęczał na jej obu przedramionach na mniej wysokości łokci, trzymając w dłoniach jej głowę, uniesioną i wychyloną ku niemu, co musiało jej sprawiać nieopisany ból w odgiętym karku, mięśniach barków i grzbietu, kiedy tak poruszał nią w rytm pchnięć własnych obnażonych bioder. Gustavo rozkładał jej nogi szeroko, podczas gdy trzeci – biały, sadząc po skołtunionych długich włosach – klęczał obok.



Nie umiem powiedzieć, czy ptak w jego rękach był martwy czy żywy, gdy zaczynał.

Teraz z pewnością już nie żył.

Łepek zwisał mu na złamanej szyi, a dziób, grzebień i korale to znikwały, to się pojawiały, kiedy wsuwał głowę kurczęcia w jej łono niemal po sam mostek. Białas ocapiął kuraka obiema dłońmi, a gdy w pewnym momencie podniósł wzrok i spojrzał na Gustavo, dojrzałem na jego twarzy uśmiech.

– Jest dobrze – szepnęła Elena. – Wyjdzie z tego z życiem. Nie opiera się. Już niedługo, siostrzyczko. Niedługo.

Przyglądałem się do chwili, gdy białas znudził się tą zabawą, wstał i podszedłszy do Gustavo, uklęknął, po czym rozpiął spodnie i usadził się na Celinie całym swoim ciężarem.



Godzina czekania to szmat czasu, zwłaszcza jeśli jesteś wystraszony i wiesz w głębi duszy, że niczym zbliżający się tętent nadciąga coś

straszego, coś, co odmieni twoje życie na zawsze, o ile w ogóle zdołasz to przetrwać. Możesz spędzić tę godzinę na przeróżne sposoby, to zależy wyłącznie od ciebie.

Elena nie spuszczała oka z tego, co działo się na zewnątrz, o tym, jak bardzo jest spięta, świadczyła wyłącznie biel kostek dłoni zaciskającej się na winchesterze. Matka leżała nieruchomo na łóżku jak człowiek złożony do trumny, z rękoma złożonymi na brzuchu i zamkniętymi oczyma. Hart stał oparty ramieniem o ścianę tuż obok drzwi, lufa jego karabinu mierzyła w podłogę, a kostki obracane w dłoni przesuwaly się bezszelestnie po jego palcach.

Ja siedziałem na krześle odwrócony plecami do okna, zaciskając powieki i robiąc wszystko, by odgonić od siebie myśl o alkoholu; próbowałem się odprężyć, usiłowałem wrócić pamięcią do dawno minionych lepszych czasów, z teatrem i operą, meczami baseballu, tawernami odwiedzanymi z kolegami z Harvardu i moją pierwszą miłością, Jane Geary, która zostawiła mnie dla jakiegoś durnia z Yale; starałem się sobie przypomnieć błękitne niebo odbijające się w rzece Charles płynącej przez Cambridge. Tymczasem bez przerwy nawiedzały mnie obrazy kampanii meksykańskiej, powykręcane połamane ciała, gnijące od gangreny obcięte kończyny, oderwane wybuchami pocisków armatnich głowy spoczywające kilka stóp od reszty ciała, wrzaski rannych i jęki konających.

Godzina czekania to szmat czasu...

A tyle prawie upłynęło, zanim usłyszałem, jak Elena mówi:

– Nadchodzą.

Matka oczywiście nie spał. A jeśli nawet zmrużył oko, poderwał się z łóżka błyskawicznie niczym orzeł opuszczający gniazdo po dostrzeżeniu w dole ofiary. Ledwie rozległ się głos dziewczyny, wstał energicznie i ustawił się po drugiej stronie drzwi, zadziwiając mnie po raz kolejny zwinnością i gracją, jakże nietypową dla mężczyzny jego rozmiarów.

Hart zerknął na Elenę.

– Gdzie tylne wyjście?

– W głębi holu, po prawej.

– Twoja siostra nadal tam jest?

Potaknęła.

– Wszystkie tam są. Zbiły się w grupkę. Ponownie spętane.

– Kręcą się obok jacyś mężczyźni?

– Tylko dwaj.

– Świetnie. Gdy się zaczniesz, leć na tyły, znajdź ją i zaprowadź do koni. Ci chłopcy zechcą się dostać do środka. A my ich przez pewien czas będziemy powściągać. Później dołączymy do was. Dasz sobie radę sama?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– Zastrześliś kiedyś człowieka, Bell?

– Nie.

– Zaraz to zrobisz. Domyślam się, że zleżą się głównie kupcy, którzy w większości są nieuzbrojeni. Niech to cię nie powstrzyma, słyszysz?

Zawahałem się, ale potaknałem.

– Spójrz na to w ten sposób – odezwał się Matka. – Suzie złapała kleszcza. Wysysa z niej krew. Bierzesz drania między kciuk i palec wskazujący. I ściskasz. Nie wygląda to ładnie, ale tak trzeba. W ostatecznym rozrachunku koń jest ważniejszy od cholernego kleszcza.

– Naszym celem jest oczyszczenie tamtej sali, Bell. Po prostu. Tylko my mamy stać na nogach, gdy będzie po wszystkim. Poza tym osłaniamy siebie wzajemnie. Do roboty.

† †

Tak naprawdę nie zaznałem wojny.

Czy też zaznałem ją, lecz wyłącznie poprzez jej konsekwencje. Gdy jednak schodziliśmy na parter, Hart i Matka z przodu, Elena i ja za nimi, pomyślałem, że to samo musieli czuć żołnierze, którzy choć nie brali

wcześniej udziału w bitwie, byli świadomi jej możliwych skutków. Opadł mnie strach, owszem, nie przeczę. Czytelny sygnał wysyłany ciału przez umysł, który powoduje, że serce bije szybciej, nogi miękną, a w gardle zasycha do tego stopnia, że nie sposób przełknąć śliny. Zatem strach. Ale nie tylko on, także obezwładniające przerażenie i potworna niechęć. Miałem zaryzykować własne życie w celu odebrania go wielu innym ludziom. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby jednego albo drugiego?

„Naszym celem jest oczyszczenie tamtej sali, Bell”.

Od dawna wiedziałem, że wojna to czyste szaleństwo.

Nie miałem jedynie pojęcia, w jaki sposób to szaleństwo objawia się w duszy człowieka.

Przez moment nie mogłem uwierzyć, że tutaj jestem.

To poczucie, że znajduję się w niewłaściwym miejscu, narastało z każdym stawianym przeze mnie krokiem, aż wreszcie zawładnęło mną do tego stopnia, że ledwie słyszałem docierające z dołu odgłosy rozmów i śmiechy, ledwie rejestrowałem woń dymu z cygar, co zmieniło się dopiero wtedy, gdy dotarliśmy do podnóża schodów i otworzyliśmy podwójne drzwi, po czym Hart i Matka wkroczyli do środka, unosząc broń i mierząc z niej do zaskoczonych tym widokiem ludzi, ja zaś stanąłem u boku wielkoluda, mając Elenę po prawej, i w końcu poczucie to zniknęło błyskawicznie niczym gołąb przed sokołem, kiedy zaczęliśmy strzelać.

Zobaczyłem, że gruba kobieta zwana Lucią pada na podłogę jak przewrócony worek ziarna od kuli, którą wpakowała jej Elena, zanim choćby zdążyłem wycelować i wystrzelić do stojącego tuż przede mną brodatego Meksykanina w dobrze skrojonym surducie. Uchylił się za późno. Trafiłem go prosto w pierś.

Nie pomyślałem wtedy: „Zabijam, właśnie zabijam człowieka”. Wątpię, bym myślał wtedy o czymkolwiek konkretnym. Moja reakcja była instynktowna, jak u kota goniącego uciekającą mysz. I jak już zacząłem strzelać, nie mogłem przestać.

Zrobił się rumor, ludzie wrzeszczeli, a staccato karabinowego ognia w zamkniętej przestrzeni brzmiało ogłuszająco, gdy dotarło do mnie, że

Hart miał rację, mówiąc, że większość z nich będzie nieuzbrojona, kilku jednak odpowiedziało ogniem z rewolwerów i to na nich skupialiśmy wszystkie zmysły, Hart i ja, w pewnym momencie wypalając równocześnie do białasa o długich włosach, być może nawet tego samego, którego widziałem przez okno na Celinie. Poleciał do tyłu na filigranowy stolik, który załamał się pod jego ciężarem, a poderwana nagle w górę broń jęła kosić sufit, zasypując wszystkich wokół odłamkami kryształowego zyrandola.

Matka zastrzelił mężczyznę, który sądząc po ubraniu, mógł być szulerem, i który mierzył w jego kierunku z czterolufowej pieprzniczki, nawet gdy zabrakło w niej naboii.

Marię osłaniało ciałami dwóch innych mężczyzn, zapewne strażników, z których jeden nawet nie sięgnął do kabury, bo ręce miał już uniesione wysoko w górę, podczas gdy drugi strzelił do mnie w panice, straszliwie chybiając. Kula Matki odrzuciła go do tyłu, tam, gdzie powinna stać Maria, środkowa z siostr Valenzura zdążyła już dopaść sekretarzyka, otworzyć go i złapać pistolet, z którego wypaliła do Eleny. Usłyszałem wizg, z którym pocisk przemknął obok mnie niczym komar, po czym ujrzałem, że na policzku dziewczyny wykwita krwista pręga. Ona sama już mierzyła do staruchy, oddając celniejszy strzał.

Mężczyźni wokół padali jak muchy, tylko kilku jeszcze żyło, ale żaden nie był uzbrojony prócz strażnika, który stał wciąż z uniesionymi rękoma. Strzeliłem jednemu z nich w plecy, dwukrotnie, kiedy dopadał okna po lewej. Przy tym kątem oka dostrzegłem, że Maria się chwieje, ale strzela nadal w kierunku Eleny, choć ma przestrzelone oba uda. Dziewczyna wymierzyła dokładniej, a gdy nacisnęła spust, twarz Marii zamieniła się w jaskrawy kwiat rozdzieranego ciała i kości.

Matka zastrzelił strażnika, który się poddawał.

Ta sama kula strzaskała kunsztowną chińską wazę stojącą za celem.

Elena i Hart podeszli do ukrytego pod długą wąską ławą brudnego młodego Meksykanina, modlącego się urywanymi słowami, tam John

przewrócił ławę kopniakiem, a jego towarzyszka zastrzeliła Meksykańca jednym strzałem, mierząc w nasadę karku.

Później przez krótką chwilę słyhać było wyłącznie jęki konających i echa naszych strzałów, które brzmiały jak huk przyboju; gryzący dym dryfował w powietrzu, drażniąc nam oczy i przepełniając nasze usta smakiem miedzi i siarki.

† †

Nagle szyba w oknie rozprysła się na tysiąc kawałków, a w ścianę za naszymi plecami wryły się kule.

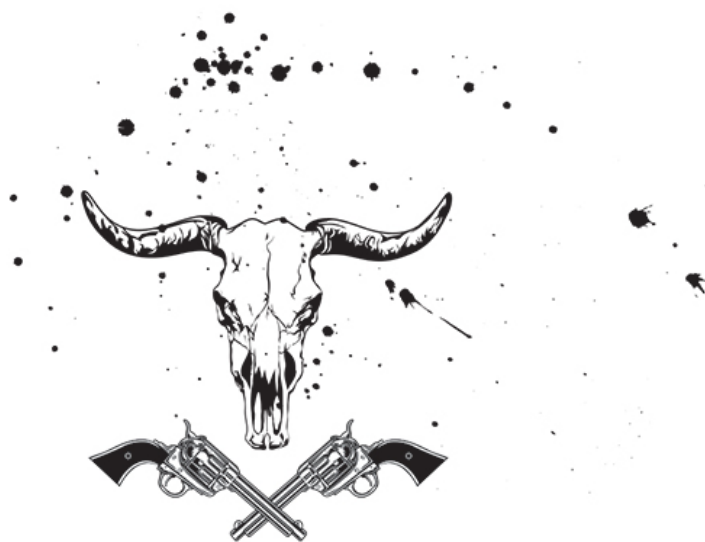
† †

Matka pośpiesznie przeładowywał broń, ja robiłem to samo. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie umiałem wsunąć naboju do komory. Słyszeliśmy łomot buciorów na schodach werandy i przeklinających ludzi. Hart dobył broni i przestępując nad zwłokami, podszedł do drzwi frontowych.

– Idź! Teraz! – zawołał do Eleny, znikając w korytarzu.

Jego rewolwer zagrzemiał, zanim zdążyła się odwrócić i uciec.

Chwilę później Matka i ja oflankowaliśmy Johna.



DWANAŚCIE

Stałam się duchem, powiedziała.

Przyglądałam się hacjendzie z cienia pomiędzy dwiema przybudówkami po lewej, widziałam, jak ludzie wypadają za drzwi i pod waszymi kulami zbiegając po stopniach werandy, widziałam Paddy'ego Ryana w masce śmierci, wymachującego rewolwerem i nakazującego podciągnięcie wozu między wejście a okno po lewej, potem zaś drugiego po prawej, by zapewnić sobie lepszą osłonę. Pijani czy nie, głupi czy nie, uwinęli się błyskawicznie, podczas gdy wy strzelaliście już przez okna, co uzmysłowiło mi, że mam niewiele czasu, że Ryan pośle za moment część ludzi na tyły, by odciąć wam drogę ucieczki. A kiedy tam się znajdą, bez trudu mnie dostrzegą.

Celina i pozostałe kobiety klęczały albo próbowały się czołgać, ale że nadal były spętane, tak naprawdę nie miały dokąd uciekać. Aby do nich dotrzeć, musiałam pokonać około dwudziestu jardów otwartej przestrzeni i przebiec obok żarzącego się ogniska, ale temu nie dało się nijak zaradzić. Wyjęłam więc z pasa nóż martwego soldado i ruszyłam przed siebie.

Gdy przed nią przyklękałam, szepnęła jedynie: „Siostro!”, tak była zaskoczona, ale ja już cięłam więzy na jej kostkach, ponaglając: „Chodź, szybko!”, po czym

szarpnięciem postawiłam ją na nogi i pchnęłam w stronę kanionu. Nóż podałam klęczącej tuż obok białej dziewczynie, co okazało się błędem, bardzo możliwe bowiem, że uwalniające się kolejno kobiety zwróciły w końcu ich uwagę, najpierw na siebie, potem na nas, gdyż zanim zdążyłyśmy dobiec do dogasającego ogniska zabitego wartownika, Celina potknęła się, a przynajmniej tak myślałam, i przewróciła na ziemię, chwytając się za biodro, kiedy to dopiero zobaczyłam, że krew barwi szkarłatem jej białą halkę, i zrozumiałam, że została postrzelona.

Pomogłam jej wstać, wsparłam własnym ramieniem i zaciągnęłam w krzewy za ogniskiem. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam Ryana patrzącego wprost na mnie, nagle w jego oczach błysnęło zrozumienie, wskazał mnie swoim ludziom i gestem skierował ich na tyły hacjendy.

Po chwili prowadził już pościg na czele trójki innych. Przycupnęłyśmy w zaroślach, ale moja siostra znów się potknęła i wykrzyknęła z bólu. Kula trafiła w kość biodrową albo uszkodziła jakiś nerw bądź jedno i drugie. Postawiłam Celinę znów na nogi, lecz tym razem musiałam ją na poły wlec, na poły nieść. Nie miałyśmy szans na dotarcie do koni.

Praktycznie czułam smród bijący od ścigającego nas Ryana.

Noga siostry jest w oplakanyim stanie, ale ręce ma zdrowe, pomyślałam. „Możesz się wspinać?“, zapytałam. Dotarłyśmy pod kępę drzew stojących poza zasięgiem blasku dogasających płomieni, wokół było znów ciemno choć oko wykol. „Celino, możesz się wspinać?“, zapytałam ponownie, na co odparła: „Myślę, że tak”. Próbowwała się przy tym dzielnie uśmiechać. „Pamiętasz, zawsze lubiłam chodzić po drzewach“, dodała. „Właż tutaj!” Wskazałam najbliższy pień. „Podeprzyj się zdrową nogą. No dalej, teraz podskok”. Objęłam ją w pasie, była tak wychudzona, że czułam pod palcami każde żebro, sterczały spod skóry niczym obręcze na beczce. Podsadziłam ją, aby mogła złapać konar. Potem czubkami palców naparłam na podeszwę jej buta, to wystarczyło, by zaczęła się wdrapywać wyżej, mimo że twarz wykrzywił jej grymas bólu, co wyraźnie widziałam, stojąc tuż pod nią. Przewiesiłam strzelbę przez ramię i sama zaczęłam się wspinać.

Chwilę później usłyszaliśmy ich w dole.

Mogłam się jedynie modlić do wszystkich bogów, w tym waszego, by nie okazali się Indianami ani tropicielami i nie patrzyli w górę, bo choć zdjęłam broń, to

mogłam z niej położyć co najwyżej dwóch, może trzech, ale na pewno nie wszystkich, zanim mnie zastrzelą. Miałyśmy szczęście. Pobiegli dalej.

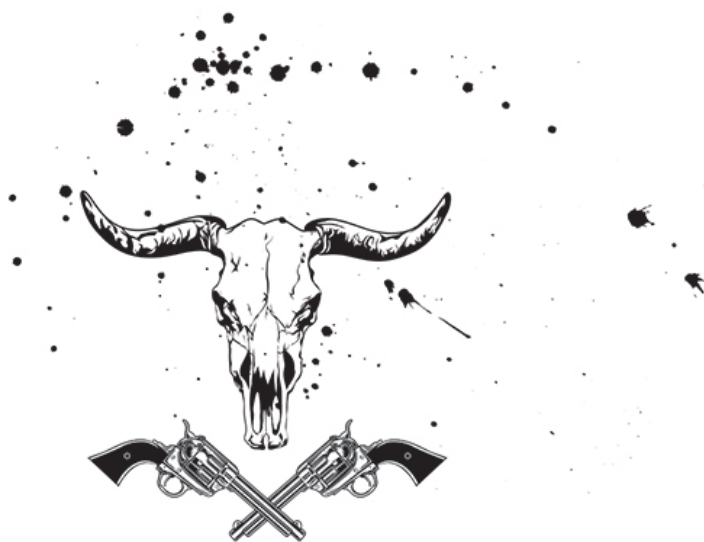
W stronę koni.

I zaraz z nimi wrócili – wierzchowce parsknęły, nie podobało im się, że ktoś ciągnie je przez gęste zarośla, ale Ryan się śmiał, mówiąc: „Zobaczmy, jak daleko zajdą bez nich”. Mijając dogasające ognisko, dodał jeszcze: „Do zobaczenia rankiem, moje panie”, jakby był pewien, że kryjemy się w pobliżu.

Pomogłam siostrze zejść, gdy oddalili się wystarczająco.

W dolinie panowała cisza. Strzelanina ustała, sama nie wiem kiedy. Nie zwróciłam na to uwagi.

Pozostało nam tylko czekać na was.



TRZYNAŚCIE

– Myślisz, że zdążyła? – zapytał Matka.

– Oby tak było – burknął Hart.

– Zdajesz sobie sprawę, że dość już nadużyliśmy gościnności tutejszych?

– No.

W korytarzu leżało trzech martwych strażników, byli to ci, którzy wpadli tu na ślepo pierwsi, lecz tym na zewnątrz niewiele zdołaliśmy zaszkodzić. Naliczyłem ich dwunastu albo trzynastu, strzelających do nas z za i spod wozów. Kule karabinowe sypały się przez każde okno, trudno im było jednak celnie mierzyć, o trafieniu nie mówiąc. Mimo to pobiegliśmy do tylnego wyjścia. Mniej więcej w połowie korytarza zerknąłem przez ramię i dostrzegłem sunącą w naszym kierunku ciemną sylwetkę, strzeliłem więc w jej kierunku, nawet nie zwalniając.



Dziesięć kroków więcej i dotarlibyśmy do drzwi.

Dziesięć kroków mniej, a moglibyśmy skrócić do któregoś z pokoi po obu stronach.

Pech chciał, że przyskrzynili nas w połowie drogi, sześć luf przeciwko naszemu trzem.



Pierwszą kulkę dostałem w udo, co odczułem tak, jakby ktoś mnie zdzielił pięścią w to miejsce. Równocześnie dwaj strażnicy padli trupem pod naszym ogniem. Drugą kulkę dostał Matka tuż powyżej biodra, potem trzecią prosto w pierś, ale ku mojemu zdziwieniu ustał, tyle że został z tyłu, nie przestając jednak ani na moment strzelać; parliśmy nadal do przodu, przywierając plecami do ścian, załatwiliśmy w ten sposób dwóch kolejnych drani w samych drzwiach, na co ostatnia para wycofała się za próg, waląc za siebie na oślep. Dobywszy rewolweru, Hart odpowiedział tym samym, aż futryna po obu stronach poszła w drzazgi, i już prawie, prawie staliśmy w wyjściu, gdy Matka wydał nagle dźwięk, którego nikt nigdy nie powinien usłyszeć.

Obejrzałem się, podobnie jak Hart, i zobaczyłem najpierw lecący na podłogę karabin wielkoluda, po czym w jego szyi dostrzegłem szpikulec długości kolejowego szyniaka, który poruszał się, jakby próbował wyjść z rany –

sunął w górę i w dół, z prawa na lewo, zupełnie jak żywe stworzenie usiłujące się wydostać z potrzasku, podczas gdy Matka zaciskał na nim pięści, jakby za wszelką cenę chciał go pozostawić w ciele, przy czym oczy wyszły mu z orbit, a z rozwartych ust pociekła krew gęsta niczym syrop, skapując prosto na jego pierś, kiedy ta z rany na szyi obryzgiwała falami pobliską ścianę.

Przechylił się nagle i wtedy ujrzeliśmy stojącą za nim szaloną staruchę Ewę – tak przy nim drobną, że wyglądała jak gnom, który zapragnął powalić olbrzyma – to ona trzymała kurczowo rękojeść obsydianowego noża, usiłując wyrwać go z rany, szczyrzyła się przy tym dziko, to mrużąc, to wytrzeszczając oczy, jakby starała skupić wzrok na czymś odległym w oślepiającym świetle, przynajmniej dopóki Hart nie stanął przed nią i nie strzelił prosto w jedno z jej kaprawych mętnych ślepi, plugawiąc

ścianę plamą świństwa, które gnieździło się wcześniej pod roztrzaskaną czaszką.

Padła na podłogę i znieruchomiła, a ja zobaczyłem, że to, co wzięłem za półprzezroczystą szatę, która ledwie skrywa obwisłe piersi i spływające luźno fałdy tłuszczu na brzuchu, dając wyobrażenie o obrzydliwości jej nagiej postaci, nie jest wcale tkaniną.

Była to skóra, zdarta z innej kobiety.

Matka runął na kolana. Puścił ostrze i zwiesił obie ręce wzdłuż boków. Wydawał się przez moment spoglądać na Harta ze zdziwieniem, po czym w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia i równie szybko zgasł.

Gdy było już po nim, zwałił się na plecy i tak już pozostał.

Nie zastanawiałem się wtedy nad tym, że Matka opiekował się mną i mnie uczył. Nie zastanawiałem się, że jeśli mężczyzna jest zdolny pokochać innego mężczyznę, w moim przypadku był nim Matka. Takie myśli przyszły znacznie później. Miałem przed sobą trupa. Matki już nie było.

– Jezusie, Matka – jęknął John.

Strzelanina na zewnątrz ucichła. Obrońcy hacjendy wycofali się spod drzwi, a my nawet nie wiedzieliśmy dlaczego. Naszym zdaniem było to nieracjonalne zachowanie. Wystarczyło przecież zaatakować nas z obu stron naraz, byle szybko. Mogliśmy poszukać schronienia w którymś z pokoi, ale nie mieliśmy szans bronić się tam w nieskończoność. Pewnie straciliby jeszcze paru ludzi, niemniej prędzej czy później by nas dopadli.

Zdawałem sobie sprawę z mrowienia w nodze. Na razie mi jeszcze nie ścierpła, wiedziałem jednak, że to tylko kwestia czasu. Powyżej rany coś pulsowało.

– Dasz radę, Bell? – zapytał mnie Hart.

Potaknąłem. Rzuciłem spojrzenie klęczącemu przede mną mężczyźnie, bojąc się odezwać, gdyż głos bez wątpienia by mnie zdradził.

Zauważyłem, że John także oberwał, trafili go wysoko w bok piersi, krew lała się strumieniem. O tym też wolałem nie myśleć.

– Lepiej się stąd wynośmy.

Przestąpiliśmy nad leżącymi w progu czterema ciałami i skierowaliśmy się ku przybudówkom, przez cały czas spodziewając się wznowienia ostrzału. Do niczego takiego nie doszło. Zostawiwszy zabudowania za sobą, ruszyliśmy przez zarośla w stronę polany i zagajnika, w którym przywiązaliśmy konie. Ale koni oczywiście nie było.

W blasku księżyca była tylko Elena
z Celiną.



– Matka? – zapytała Elena.

Hart nie odpowiedział. Nie musiał. Jego mina mówiła wszystko. Na dnie jego oczu czał się taki mrok, że dziewczyna się skrzywiła, jakby ją ktoś uderzył. *Ten człowiek mnie obwinia. To oczywiste. Obwinia mnie o śmierć przyjaciela...* Omal słyszałem jej myśli.

Być może miała rację. A być może nie. Przez większość czasu trudno było rozgryźć Harta.

Zakrzętnęła się, zamiast wdawać się w dyskusje.

– *Ayúdame, hermana, este uno* ^[15] – powiedziała, pokazując mi palec.

Celina podeszła do mnie, utykając, dzięki czemu zauważyłem, że została postrzelona w biodro i że opatrzono tę ranę bandażem z oddartego kawałka halki, przez który przebijała się brązowa plama – później przekonałem się na własnej skórze, że to po prostu mieszanina ziemi i jej własnego moczu –

tymczasem dziewczyna wprawiła mnie w zakłopotanie, gdyż rozpięła mi spodnie i opuściła je delikatnie, by zyskać dostęp do rany, Elena natomiast zsunęła koszulę z ramion Harta. Dostał w okolicach pachy, ale kula na szczęście przeszła na wylot, a krwawienie już prawie ustało.

– Zatem to ty jesteś Celina – zagailem.

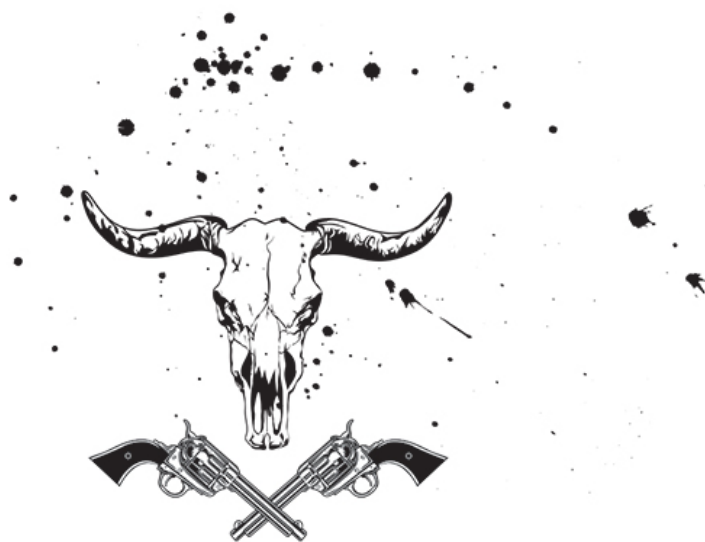
Zabrzmiało to głupio nawet w moich uszach. Pewnie byłem w szoku, sam nie wiem. Czulem jednak, że muszę coś powiedzieć. Śliczna młoda

Meksykanka dotykała mojego nagiego uda zwiłkiem materiału oderwanego z jej halki. Musnęłyby cal albo dwa wyżej i nie miałbym przed nią żadnych tajemnic.

– Nie wiem, jak ci dziękować – odparła, po czym spojrzała na Johna. – Nie wiem, jak wam obu dziękować.

Grymas Harta zmienił się w minę z grubsza przypominającą uśmiech.

– Spodziewają się, że będziemy uciekać – stwierdził. – Jak znam życie, wyruszą bladym świtem. Myślą, że łatwo nas dogonią, skoro nie mamy wierzchowców. Zastanawiasz się, jak mi podziękować, dziewczyno? To może ukradniesz konia?



CZTERNAŚCIE

Wątpię, by którekolwiek z nas spało tej nocy. Ja na pewno nie zmrużyłem oka. Nie zasnąłbym, nawet gdyby nie dokuczała mi zraniona noga. Dlatego w najciemniejszą godzinę, tuż przed brzaskiem, w porze wilka, jak ją zwa, zerwałem się zwarty i gotowy, kiedy tylko poczułem, że Hart dotyka mojego ramienia.

Wróciliśmy przez zarośla, omijając wygasłe ognisko wartownika, niemal tą samą trasą, którą przemierzyliśmy z Johnem zeszłego wieczora, Celina i ja z niejaką trudnością, w lekkim deszczu, i o świcie przycupnęliśmy wśród ociekających wodą krzaków, skąd mieliśmy dobry widok na Paddy'ego Ryana, który rozsiadł się na werandzie w bujanym fotelu, już obmyty z czarno-białego makijażu, i popijał coś z filigranowego porcelanowego kubka.

Wypatrzyliśmy także dwóch strażników przy przybudówkach po naszej prawej, co pozwoliło nam założyć, że tam właśnie są przetrzymywane pozostałe kobiety. Trzech innych karmiło i oporządzało konie w corralu, jeden krzątał się na środku podwórza, tuż przy studni. Dwaj ostatni, ci,

których Elena nazywała Fredo i Gustavo, stali plecami do nas przy kole wozu, rzucając w coś kamykami i zaśmiewając się do rozpuku.

Gdy się pochylili po więcej pocisków, zobaczyłem, co jest ich celem.



Słyszałem o tym podczas wojny.

Partyzanci wycinali jeńcom nie tylko serca, języki i genitalia.

Czasami pozbawiali ich też mózgów.

Do koła wozu był przywiązany Matka, z szeroko rozłożonymi rękoma. Odcięto mu tuż nad brwiami czubek głowy i to właśnie do tego otworu, pustego, jeśli nie liczyć odrobiny deszczówki, celowali obaj Meksykańcy.



Elena dotknęła ramienia mojego towarzysza.

– Hart...

Nie odpowiedział. Gapił się tylko na tamtych, zaciskając kostki w dłoni.

– Hart. Tak mi przykro.

– Z jakiego powodu?

– Proszę, Hart. Daj spokój.

Myślałem, że Elena się rozplacze. Elena. Się. Rozplacze. Ta myśl była równie szokująca jak to, co mieliśmy przed oczyma. W końcu John odwrócił się do starszej z sióstr i po raz pierwszy przemówił do niej łagodnie.

– Nie mam do panienki żalu. I on także. Rodzina to rodzina, jak już wspomniałem. Wszyscy mamy jakąś.

W tym momencie dostrzegłem między nimi coś prawdziwego, niemalże czułość wynikającą z poczucia szacunku, straty i cierpienia; starsza z sióstr skinęła głową, Hart zaś powiedział cicho: „Nawet ja”, po czym przeniósł znów wzrok na podwórze.

Na którym Fredo i Gustavo dalej śmiali się w najlepsze.

I wciąż rzucali kamykami.

– Nawet ja – powtórzył John i tym razem dało się poczuć bijący z tych słów żar gniewu.

Przez jakiś czas obserwowaliśmy hacjendę w całkowitym milczeniu.

– Naliczyłem ich jedenastu – przerwałem ciszę. – Są rozrzućeni po całym terenie. Ciężko będzie dostać się do koni.

– Nie idziemy po konie.

– Co?

– Matka sprawił, że zmieniłem plany.

Spojrzałem na niego.

Westchnął.

– Jesteś o wiele lepszym człowiekiem, niż myślisz, Bell. Przynajmniej gdy nie pijesz. Ale daleko nie zajdziesz z tą nogą, podobnie jak dziewczyna. Dlatego nie pójdziemy po konie. Potrzymasz je dla mnie przez chwilę?

Wręczył mi kości. Sięgnął po rewolwer, otworzył bębenek, zakręcił nim mocno, potem zamknął ponownie i schował broń do kabury. Na koniec odwrócił się do Eleny.

– Poproszę o zwrot mojego winchestera, jeśli panienka nie ma nic przeciw. I o nóż.

W tamtym momencie chyba już wszyscy wiedzieliśmy, co mu chodzi po głowie, nic więc dziwnego, że Elena nie przejawiała wielkiej ochoty, by spełnić jego życzenie. Nie mogłem jej o to winić.

– Wystarczy panience karabin Bella i jego pistolet.

– Pistoletem niewiele się zdziała z tej odległości – wtrąciłem. – Wiesz o tym, John.

– Mimo wszystko. – Wyciągnął dłoń. Podała mu nóż, który trafił zaraz za jego pas, potem karabin. Sprawdził, czy jest w pełni naładowany, następnie położył go obok broni odebranej wartownikowi i zdjął koszulę. Oparł winchestera o pierś, przywiązał go do siebie rękawami i sięgnął po drugą strzelbę.

– Do zobaczenia – rzucił, po czym wstał i ruszył przed siebie.

Nie śpieszył się, szedł swobodnym krokiem – a mnie przypomniła się opowieść o nim i skradzionym bydle. Poczułem w piersi dziwny ucisk, zarazem byłem rad, że dożyłem dnia, w którym mogę zobaczyć tego człowieka w akcji, i pełen obaw, czym to się skończy.

– Daj mi pistolet, Bell – odezwała się Elena, a ja spełniłem jej żądanie.



Nie wiem, co sprawiło, że się odwrócili – czy było to przeczucie, czy jakiś znak dany przez innych strażników, który dojrzeli w przeciwieństwie do nas, w każdym razie Fredo i Gustavo okręcili się wokół własnej osi i wycelowali w niego równocześnie. Ale było już za późno. Hart wpakował dwie kulki w opasły brzuch tego pierwszego, a trzecią w klatkę piersiową drugiego, zanim z ich strony zdążył paść choć jeden strzał. Potem podszedł do zwijającego się na ziemi Fredo i wystrzelił po raz czwarty, prosto w jego ucho.

Staął przed Matką, rozciął więzy i ułożył ostrożnie ciało na ziemi.

Usłyszałem, że Ryan wrzeszczy coś z werandy, stojąc z uniesioną wysoko ręką, by powstrzymać swoich ludzi.

John przyklęknął za wozem i przeładował broń.

Następnie się wyprostował i wyszedł prosto pod ich zmasowany ogień, jak podświadomie się tego spodziewałem, takim krokiem, jakby wybrał się na spacer. Sekundy dłużyły mi się niemiłosiernie, całkiem jakby czas przestał płynąć właściwym tempem. Hart wypowiedział im prawdziwą wojnę nerwów. Wojnę, którą pierwszy przegrał człowiek stojący przy studni, posyłając kulę w powietrze. Hart wymierzył i pociągnął za spust, kładąc Meksykanina na miejscu. Moment później rozpętało się piekło. Wystrzeliwane zewsząd kule ryły błotnisty grunt wokół Johna, nadal stanowiącego łatwy, poruszający się wolno cel.

Do tej pory zdążyłem się zdecydować, którego załatwię: kowboja w corralu. Zaczawszy do niego strzelać, chybiłem za pierwszym i drugim razem, lecz nie za trzecim.

Między pozostałymi dwoma strażnikami a mną stały konie, dlatego zacząłem szukać lepszego celu i wtedy zobaczyłem, że kierujący się w stronę przybudówek Hart kładzie trupem Meksykanca pilnującego bliższego budynku, po czym okręca się na pięcie i wypala do drugiego, a że ja nagle też miałem czystą linię strzału, nacisnąłem spust w tej samej chwili co Hart, nie umiem więc powiedzieć, który z nas go skosił.

Ostatni dwaj strażnicy, ukryci za beczkami z wodą, gdy rozpętała się strzelanina, nie ruszyli się z miejsca, ale John i tak szedł prosto na nich. Na moich oczach odrzucił karabin i sięgnąwszy po przywiązanego do piersi winchestera, zaczął walić do bliższej beczki, podczas gdy ja robiłem to samo z drugą, dopóki nie zauważyłem, że nie ma już przy mnie Eleny – Celinę widziałem, ale nie jej siostrę – i przez moment zastanawiałem się nawet, czy nie zginęła, choć było to raczej mało prawdopodobne, zaraz jednak skoncentrowałem się ponownie na próbie zlikwidowania człowieka kryjącego się za moją beczką.

Widziałem, jak John obrywa niemal równocześnie w udo i bok. Zachwiał się, ale nie upadł i nie przerwał ostrzału. Meksykaniec dał się zabić, gdy John był zaledwie o krok od beczki, po czym natychmiast odwrócił się do drugiej. Ja musiałem akurat przeładować. Walcząc z nabojami zauważyłem, że jego winchester leci na ziemię, a w dłoni pojawia się rewolwer, ale właśnie wtedy następna kula wryła mu się w ramię, obracając go i ciskając w błoto.

Usłyszałem dolatujący od werandy śmiech Ryana, który skrył się za grubymi dębowymi drzwiami.

On strzelił, to była jego kula.

Hart zachowywał się jak byk podczas corridy, zdołał podnieść się na klęczki, zanim oberwał ponownie w udo, a ja pomyślałem: *Chryste, to nie corrida tylko pieprzona rzeźnia*, bo trafili go zaraz w pierś i jeszcze w rękę, tę, w której trzymał broń, tak że z trudem ją zgiął, by przełożyć rewolwer do drugiej dłoni, ale udało mu się to zrobić i już mógł wypalić w kierunku corralu, kładąc jednego z drani kryjących się za szalejącymi ze strachu końmi, wtedy i ja wróciłem do strzelania, ten zza beczki zorientował się

błyskawicznie, skąd nadlatują kule, i zostawił na moment Johna w spokoju, by zająć się mną, ale trafiłem go prosto w pierś, zanim zdążył oddać strzał.

Dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że John stoi zwrócony w stronę werandy, i chwilę mi zabrało zrozumienie dlaczego. Trzeci przeciwnik z corralu leżał już martwy, tak samo jak pozostali dwaj, co oznaczało, że został tylko Paddy Ryan. Hart jednak przyglądał się zabitemu, nie tając zdziwienia, z czego wywnioskowałem, że to nie on położył go trupem.

Zrobiłem to, co on, zacząłem nawalać w stare dębowe drzwi, dopóki nie upodobniły się do kupy nieheblowanych desek, lecz kule z mojego karabinu nie mogły ich przebić z tej odległości, tak samo jak kule rewolweru dzierżonego przez Harta, Ryan z kolei ani myślał się pokazać, aż w końcu musiałem znowu przeładować.

I Hart też, jak się okazało.



Nie mam pojęcia, dlaczego wtedy zrobiłem to, co zrobiłem.

Jak już chyba wspomniałem, nie należę do ludzi odważnych.

A już na pewno nie mam skłonności do idiotycznych zachowań.

Nagle jednak nie mogłem dłużej znieść myśli, że Hart klęczy tam na otwartej przestrzeni, a ja siedzę pod osłoną. Wyszedłem więc z krzaków, koncentrując się na pakowaniu naboju do komory i ignorując ból w nodze, a nawet Ryana, bo liczyło się tylko jedno, to, że obie strony przestały wreszcie strzelać, kuśtykałem więc dalej ku Johnowi, udało mi się nawet wsunąć najpierw jeden, potem drugi nabój, ale gdy zbliżyłem się do niego na odległość nie więcej niż dziesięciu stóp, znów zaświstały kule i poczułem uderzenie w głowę, jakbym oberwał pałąką, zakręciło mną i padłem jak długi, w ustach miałem smak błota i krwi, lecz zobaczyłem jeszcze, że Hart obrywa po raz kolejny w pierś, tym razem zwałił się na ziemię, tak że leżeliśmy praktycznie ramię w ramię.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak Ryan schodzi z werandy, uśmiechając się tak, jakby żył, by zabijać, a nie jeść. Omiótł mnie

lekceważącym spojrzeniem i z uniesionym rewolwerem zbliżył się do Harta, który rzucił do niego: „Ty kupo końskiego gówna, wiesz, że już nie żyjesz?”, co Ryan mógł by uznać za bredzenie w agonii, gdyby nie była to najczystsza prawda, bowiem Elena zaszła drania od tyłu i zatrzymawszy się trzy albo cztery kroki za nim wypaliła mu prosto w tył głowy. Kula rozorała czaszkę, zdeformowała pół twarzy i posłała go w błoto.

Spróbowałem się podnieść.

– Leż spokojnie – powiedziała. – Postrzelono cię w głowę.

Podeszła do Johna i przyklękła obok.

– Dlaczego od razu nie pozwoliłeś, żebym ci pomogła? – zapytała.

– Przecież pomogłaś.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nic się nie stało. Zrobiłbym to jeszcze raz dokładnie tak samo.

– Jesteś szalony, Hart.

– Nie należy tak brzydko mówić do umierającego człowieka, Eleno.

– Przepraszam.

– Nie masz za co.

– A dopiero zaczynałam cię lubić.

– Zupełnie nie wiem dlaczego – mruknął. – Ale dziękuję, panienko.



PIĘTNAŚCIE

Tym razem przeprawiliśmy się w Gable's Ferry. To oznaczało, że musieliśmy zjechać daleko na północ, ale zrobiliśmy to, nie chcąc ryzykować przewożonego ładunku. Staruszek Gable najął do tego czasu pomocnika, który nie był zadowolony, że ma do czynienia z rannymi, o dwu podziurawionych kulami ciałach nie mówiąc. Było z nami kilka kobiet zabranych z hacjendy. Ich towarzystwo podobało mu się znacznie bardziej.

Nie nadawałem się za bardzo do kopania grobów, z Celiną było podobnie, zatem to Elena pochowała ich za naszym corralem, w zacienionym miejscu na niewielkim wzgórzu, by wiatr szumiał im w jesienne wieczory. Oznaczyliśmy mogiły krzyżami zbitymi z drewna, z którego zbudowano zagrodę, ponieważ była ona dziełem Matki. Również Elena wbiła je głęboko w świeżo rozkopaną ziemię.

– Jakies ostatnie słowo, Bell?

Zastanawiałem się chwilę.

– Nie wiem, co powiedzieć. Byli moimi przyjaciółmi. Najlepszymi, jakich miałem. Najlepszymi, jakich mogłem sobie życzyć. I to chyba wszystko.

Byli moimi przyjaciółmi.

Spojrzała na Celinę.

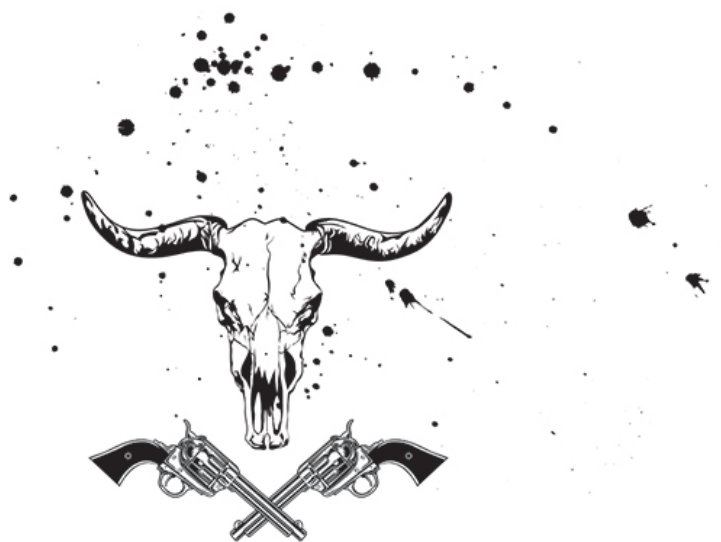
– Dzielni mężczyźni. Uprzejmi i wspaniałomyślni. Nigdy ich nie zapomnę.

W tym momencie Elena zrobiła coś zaskakującego. Wyjęła niewielką książkę o pogiętych okładkach z kieszeni sukni uszytej na tę okazję. Rozpoznałem Biblię natychmiast, należała wcześniej do Matki.

Nie widziałem jednak nigdy, aby ją czytał albo chociaż otwierał.

– „Wy jesteście światłość świata” – wyrecytowała. – „Nie może się miasto zakryć na górze osadzone. Ani zapalają świece i kładą jej pod korzec, ale na świeczniku, aby świeciła wszystkim, którzy są w domu. Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiach”^[16]. Ewangelia według Świętego Mateusza. Amen.

Zapłakałem, a później, gdy zostawiły mnie samego, usiadłem, by to wszystko spisać.



PRZYPISY

- [1] *Comida* (hiszp.) – jedzenie. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Winfield Scott, przydomek Old Fuss and Feathers – amerykański wojskowy żyjący w latach 1786–1866, uważany za jednego z najlepszych dowódców w historii USA.
- [3] *Las hermanas de lobo. Las hermanas del diablo* (hiszp.) – Siostry wilka. Siostry diabła.
- [4] *Soldado* (hiszp.) – żołnierz; *soldados* (l.mn.) – żołnierze.
- [5] *Hechicera* (hiszp.) – wiedźma.
- [6] *Corral* – zagroda dla koni lub bydła.
- [7] *Rebozo* – długa chusta używana przez kobiety w Meksyku jako wierzchnie okrycie.
- [8] *Serape* (hiszp.) – przypominający koc szal, zwykle barwny i zakończony frędzlami, noszony niczym peleryna zwykle przez mężczyzn w Meksyku.
- [9] Kaktus *saguaro* (*Carnegiea gigantea*) – karnegia olbrzymia, gatunek sukulenta rodzimy dla pustyni Sonora.
- [10] *Cojones* (hiszp.) – wulg. jaja.
- [11] Santa Anna (właśc. Antonio de Padua María Severino López de Santa Anna y Pérez de Lebrón) – żyjący w latach 1794–1876 meksykański wojskowy.
- [12] *Cabrón* (hiszp.) – wulg. skurwiel, *cabrones* (l.mn.) - skurwiele.
- [13] *Quién es?* (hiszp.) – kto idzie?

[14] *Qué mosca te ha picado?* (hiszp.) – co cię dziś ugryzło?

[15] *Ayúdame, hermana, este uno* (hiszp.) – pomóż mi z nim, siostrze.

[16] Ewangelia Mateusza 5:14–16, Biblia Jakuba Wujka, 1923.